CZYTELNIK

Odra
Tygodnik

CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

NUMER 42 (99)
KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN —OLSZTYN, DNIA 19 PAŹDZIERNIKA 1947 R.
ROK III

WYŻSZA SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO

EGON NAGANOWSKI

Antenaci

NAWET w Niemczech niektórzy ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę, że demokratyczna reedukacja „narodu filozofów i poetów“ jest w pierwszej linii uzależniona nie od czego innego, jak właśnie od dokładnego zrewidowania dorobku poetów i filozofów, których dzieła stanowią tradycyjne wzorce kształtujące światopogląd niemieckiego człowieka. W praktyce jednak z filozofów „ofiarą“ tych rewizjonistycznych tendencji padł dotychczas właściwie tylko Nietzsche, którego wina — cokolwiekby można wysunąć na usprawiedliwienie — jest tak oczywista, że trudno było jej nie dostrzec. I tu zresztą nie brak żarliwych obrońców, usiłujących ratować autora „Poza dobrem i złem“ czym się dą i jak się da.

Argumenty i kontrargumenty w sprawie Nietzschego przewinęły się również przez publicystykę polską, że wspomnę tylko o wywodach śp. Hulki Laskowskiego („Warszawa“ 12. 1. br.), Leona Rygiera (w jednym ze styczniowych numerów „Robotnika“), Pawła Kupkego („Odra“ 27. 7. br.) i niżej podpisanego („Dziś i Jutro“ 23. 3. br.). Nic natomiast — poza jedną jedyną pracą Suchodolskiego („Dusza niemiecka w świetle filozofii“) — nie pisze się u nas o innych myślicielach, których „wkład“ do niemieckiego imperializmu, militaryzmu, szowinizmu, a nawet hitleryzmu, jest często niemniej wyraźny niż okrzyczanego propagatora moralności panów. Mam tu na myśli przede wszystkim cały idealizm niemiecki, w pierwszej zaś linii Fichtego i Hegla, którym przypatrzymy się nieco bliżej w niniejszym artykule.

Idealizm — źródłem czy ofiarą?

Z POCZĄTKIEM lutego br. odbyła się wielka dyskusja między czołowymi pisarzami berlińskiego Kulturbundu na temat „Czy istnieje specyficznie niemiecki kryzys duchowy?“ Jeden z dyskutantów, dr Birkenfeld, dał wtedy m. in. wyraz swemu przekonaniu, że „winę niemieckiego idealizmu należało by nareszcie dokładnie zbadać“. On to bowiem pogłębił i usystematyzował absolutystyczne pojmowanie państwa, przez co „duchowo usprawiedliwił nacjonalistyczny wiek XIX“ i wydał w ostatecznej konsekwencji zatruty owoc narodowego socjalizmu. „Stamtąd (tzn. z niem. idealizmu) — mówił Birkenfeld — naziści czerpali swe hasła, stamtąd wywodzi się cała hitlerowska filozofia.“ To wyraźne oskarżenie starał się potem osłabić Aleksander Abusch zastrzeżeniem, że „nie jest miarodajne, iż hitleryzm... przywłaszczył sobie pewne elementy niemieckiego idealizmu. O wiele ważniejszy jest natomiast fakt, iż zniszczył wszystko, co było w tym idealiźmie najlepsze.“

Jeżeli chodzi bezpośrednio o Fichtego i Hegla, to warto zanotować potępienie pierwszego przez Karola Thiemego, Szwajcara niemieckiego pochodzenia, i energiczną obronę drugiego przez Fryderyka Schulze-Maiziera. Thieme w książce pt. „Das Schicksal der Deutschen“ (Los Niemców, Bazylea 1947) wspomina o Fichtem, jako o myślicielu, który po entuzjazmowaniu się hasłami rewolucji francuskiej w czasach młodości przeszedł potem zupełnie na stronę reakcyjnego prusactwa i „posiał po raz pierwszy (?) zatrute nasienie w niemiecką duszę“. Od Fichtego wiedzie prosta droga poprzez Treitschkego i Bismarcka do Adolfa Hitlera.

Wprost odwrotnego zdania jest Schulze-Maizier. Przeciwstawia on w „Die letzte Chance“ (Ostatnia szansa — Deutsche Rundschau, luty br.) Bismarckowi i Hitlerowi pozytywne postaci Fichtego, a przede wszystkim Hegla. „Jest dziś w modzie — twierdzi — sumaryczne umieszczanie myślicieli tej miary co Hegel na czarnej liście demokracji i to tylko dlatego, że kilku wypaczających jego ideę epigonów było reakcjonistami i ponieważ sądzi się, iż wolno głoszeniem przebóstwienia państwa i totalizmu obciążać jego konto. Jeżeli nie co innego, to przynajmniej fakt istnienła oczywistej linii rozwojowej, łączącej Hegla z Karolem Marksem powinien nawoływać do ostrożności...“

Hegel był popularny, gdy...

OTÓŻ — jak wiadomo — Hegel rzeczywiście dokonał przewrotu w filozofii przez wprowadzenie do niej nowej metody naukowej, metody dialektycznej, później ostatecznie ukształconej jako tzw. materializm dziejowy przez Marksa. Ale nam w tym wypadku chodzi o co innego. Nie o postępową metodę, lecz o specyficzny system metafizyczny, o treść najistotniejszą heglowskiej myśli, która nie na darmo cieszyła się zawsze wówczas największym wzięciem w Niemczech, gdy do słowa dochodził tam skrajny nacjonalizm. Bo zważmy tylko. Podczas wojen napoleońskich i w czasach świetności Świętego Przymierza filozofia Hegla odegrała rolę oficjalnej ideologii państwa pruskiego. Potem wraz z osłabnięciem Prus i budzeniem się ruchów demokratycznych Hegel idzie prawie zupełnie w zapomnienie, by wypłynąć znów z końcem XIX w. i zająć z powrotem poczesne miejsce nie tylko na uniwersytetach niemieckich. Bezpośrednio przed pierwszą wojną światową, podczas niej i po niej sława i popularność Hegla wciąż rośnie. Jego idee o narodzie i państwie szerzą tacy ludzie jak Oswald Spengler i historyk Fryderyk Meinecke, by wymienić tylko najbardziej znanych. W r. 1930 założono nawet Międzynarodowe Stowarzyszenie Heglistów tzw. Hegelbund. Na szczyty bohatera niemieckiej myśli wywindował wreszcie Hegla narodowy socjalizm, rozpoznając w nim słusznie jednego ze swych genialnych antenatów.

A dziś?

OBECNIE, po upadku Trzeciej Rzeszy obserwujemy ciekawe wysiłki utrzymania Hegla na dotychczasowym stanowisku — wysiłki podejmowane tak przez krytyków reakcyjnych (jawnych czy zamaskowanych „demokracją“), jak też przez pisarzy i teoretyków lewicowych. Jedni i drudzy — w różnych tylko celach — szermują przy tej okazji nazwiskiem Marksa i zgadzają się w najlepszym wypadku na pewne nieistotne błędy Hegla, niknące przy jego „historycznych zasługach“ (np. Thüringer Volk 30. 8. br.). Jedynym bodajże wyraźniejszym głosem przeciwko Heglowi, ściślej przeciwko ciemnym stronom jego filozofii, jest artykuł A. Demala pt. „Wurzeln der nazistischen Ideologie in der Philosophie Hegels“ (Korzenie nazistowskiej ideologii w filozofii Hegla“) ogł. w lutowym (1947) zeszycie socjalistycznego miesięcznika „Einheit“.

Ale i Demal, choć domaga się generalnej rewizji myśli heglowskiej i wskazuje wcale wyraźnie na niektóre jej niebezpieczne i przez hitleryzm ostatecznie skompromitowane strony, nie jest wolny od wahań i poważnych luk. Dlatego chcąc dać możliwie przekonywający obraz musimy sięgnąć ponadto do szeregu trafnych sformułowań Suchodolskiego, do wywodów sowieckiego uczonego G. F. Furmanowa (przedr. w Neue Welt, marzec br.), do kilku obiektywniejszych niemieckich historyków filozofii starszej generacji, a przede wszystkim do samych dzieł Jerzego Wilhelma Fryderyka Hegla.

Jakież są więc z jednej strony jego nieistotne błędy, a z drugiej „historyczne zasługi“ tak pilnie dziś w dalszym ciągu podnoszone przez Niemców? Czy rzeczywiście Heglowi dzieje się krzywda, gdy „nadgorliwi krytycy“ — określenie nierzadkie — wciągają go na czarną listę demokracji? Czy wreszcie obciążanie jego konta „głoszeniem przebóstwienia państwa i totalizmu“ jest naprawdę fałszerstwem, jak sugeruje Schulze-Maizier?

„Bóg na ziemi“

UKORONOWANIE moralności — pisze August Messer („Geschichte der Philosophie von Kant bis Hegel“, Lipsk 1932) — konkretną realizację etycznej idei upatruje (Hegel) w państwie. Nie należy uważać je za środek służący interesom poszczególnych ludzi czy społeczeństwa, lecz za cel sam w sobie, za cel najwyższy.“ I dalej. „...Państwo jest dlań najdoskonalszym wcieleniem ducha... bogiem na ziemi.“ (!) Ponieważ państwo stoi ponad wszystkim — wszystko mu też wolno. Uprawiając politykę nie potrzebuje liczyć się z dochowywaniem umów i to tym mniej, im silniejsza osobistość stoi na jego czele (!). Jeżeli chodzi o obywateli, to niech nie zapominają, że człowiek staje się czymś dopiero dzięki państwu, przez zupełne podporządkowanie się władzy. (!) Hegel idzie tu jeszcze dalej niż nazizm, który — przynajmniej werbalnie — stawiał nad jednostką wielość jednostek czyli naród“ („ty jesteś niczym — twój naród jest wszystkim“).

Opinia publiczna jest dla Hegla rzeczą godną pogardy, bo naród i tak nie wie, czego chce. Dlatego też „spętanie“ prasy służy jego zdaniem zachowaniu praw rozsądku a parlamentaryzm należy potępić jako niewczesne eksperymentowanie. Najlepszy reżim został już przecież wynaleziony. Jest nim królestwo (pruskie) stanowiące ostateczną i nienaruszalną zdobycz dziejowego rozwoju. (!) „Jeżeli dialektyczna metoda Hegla — pisze Demal — głosiła wieczny rozwój, ustawiczną przemianę, to cały sens heglowskiego systemu streszczał się w dowodzie, że w Niemczech rozwój ten został już definitywnie zamknięty, że najlepsza forma państwa została już wynaleziona...“

O powikłanej wolności i zaletach wojny

SZCZYTÓW sofistyki sięgnął Hegel wyjaśniając, co to jest wolność. Wolność — powiada — polega na tym, aby się zgodzić z tym co konieczne. Konieczne zaś jest to, co rozsądne. „Co rozsądne — wywodzi dalej w „Podstawach filozofii prawa“ (nowe wyd. Lipsk 1911) — jest realne i realne jest to, co rozsądne.“ Jeżeli jeszcze uwzględnimy, że najwyższą realnością i wcieleniem rozsądku jest państwo, to nie zadziwi nas konkluzja, że państwo jest synonimem wolności. Tu się jednak łańcuch nie urywa. Zamach na „dobro“ państwa, jako zamach na wolność należy surowo karać więzieniem. Najlepiej zresztą wcale do takiej skrajności nie dopuszczać. Wystarczy zręcznie wykorzystywać ludzkie namiętności, a rządzenie pójdzie jak z płatka. W związku z tym Hegel zachwyca się „chytrością rozsądku“ (List der Vernunft) jako ważną cnotą rządzącego.

Rewelacyjnych rzeczy dowiadujemy się też o wojnie. „Wojna — pisze Furmanow — wydawała się Heglowi czymś podobnym do uderzeń wiatru, które nie pozwalają zatęchnąć wodom jeziora“. Chroni ona narody i państwa przed rozkładem, wzmacnia je, zapewnia moralne i fizyczne zdrowie. (!) Jest więc niejako koniecznością sanitarną. Posiada w ogóle tyle zalet, że trudno je wszystkie wyliczyć. Najważniejszą z nich to bliskie i szczytne powiązanie, zachodzące między nią, a „naturą rzeczy“. „Dla Hegla — formułuje Suchodolski — napięcie sprzeczności stanowiło rdzeń bytu... „Należy też przypomnieć, że nie kto inny, jak Hegel zalecał wszczynanie wojen przeciwko sąsiadom, dla zręcznego rozładowania wewnętrzno-państwowych przeciwieństw.

Kto odrodzi świat?

W „ODCZYTACH o filozofii historii“ (wyd. Reclama) nasz nieporównany prekursor hitleryzmu nie omieszkał też sprecyzować idei wyższości Niemców i pogardy dla innych narodów. „Duch germański“ — utrzymuje — to „absolutna prawda i wolność“. W Niemczech żyje zupełnie nowy duch, który odrodzi świat (a więc słynne „Am deutschen Wesen wird die Welt genesen“). Jak bardzo temu biednemu światu potrzeba tej niemieckiej „prawdy“ i „wolności“, ukazuje Hegel, wyliczając przywary obcych ras i narodów. Anglosasi są niesłychanie zacofani w pojmowaniu prawa, Chińczykom brak poczucia moralności, Hindusi są perfidni, podli i zamiłowani w rabunku, Słowianie w ogóle nie zasługują na to, by się nimi zajmować, ponieważ nic światu nie dali. Jak z tego widać, rasiści od hr. de Gobineau do Rosenberga mieli w Heglu wcale tęgiego patrona.

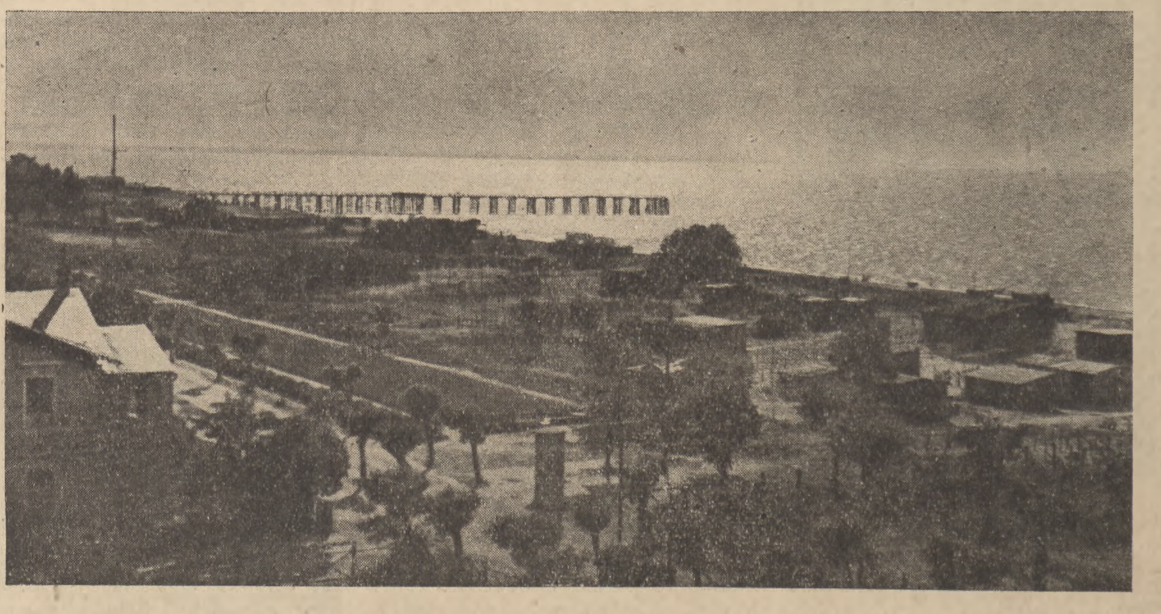

Jesień w Międzyzdrojach. Fot. J. Bułhak

Religia nakazu

ALE zbieżność między jego filozofią a światopoglądem narodowo - socjalistycznym sięga poza wyżej ukazanymi momentami jeszcze znacznie głębiej, dotykając samego pojęcia prawdy. Hegel — więcej od innych myślicieli niemieckiego idealizmu — był przekonany, że objawia absolutną i niewzruszoną prawdę, żądając dla niej bezwzględnego posłuchu. O ile Kant uważał, że jedynie w matematyce i fizyce możemy dojść do rzeczywistego poznania, Hegel, lekceważąc wszelki obiektywizm, nie widział takiej dziedziny zjawisk, dla której jego twierdzenia nie byłyby definitywnie obowiązujące. Ten butny brak wszelkiej tolerancji zaprowadził go właśnie do autorytatywnych sądów o autorytatywnym państwie, do odrzucania wartości prawdy ludzkiego sumienia i indywidualności, jako czynników destrukcyjnych przez swą „dowolność“ i „antypaństwową“ rewolucyjność. Hegel nadawał zresztą temu barwę metafizyczną. Jego prusko-reakcyjna filozofia pretendowała do zajęcia miejsca religii, co było też główną cechą „wszechogarniającego“ światopoglądu Hitlera i Rosenberga. Wewnętrznych i zewnętrznych przeciwników, całą tę ciemną masę, która się przeciwstawia „koniecznej prawdzie“ trzeba „przekonać“ siłą. Świetnie to m. in. pojął Mussolini, lecząc błędy antyfaszystów.. olejem rycynowym. W ten sposób Duce zwulgaryzował jedynie heglowską ideę nie naruszając jej zasadniczej linii.

Fichte — Scharnhorst — słowa

ZA drugiego antenata faszyzmu, który w niejednym wyśmienicie Hegla uzupełnił, należy uważać starszego odeń o 8 lat (ur. 1762 na Górnych Łużycach) Jana Gottlieba Fichtego. W tym co o nim powiemy, podkreślimy przede wszystkim te właśnie uzupełniające momenty. Trzeba przy tym zaznaczyć, że poza ogólnikowymi oskarżeniami Thiemego, nikt dotąd nie próbował w dzisiejszych Niemczech zachwiać jego pozycją. Fichte jest przecież w świadomości niemieckiego ogółu bohaterem narodowym *sensu stricto*, jego zasługi dla ratowania Prus po bitwie pod Jeną porównuje się z czynami Steina i Scharnhorsta. Wygłaszał wtedy „mowy do niemieckiego narodu“, w których odciął się ostatecznie od swej kosmopolityczno - indywidualistycznej młodości, udowadniając konieczność ratowania Niemiec dla dobra ludzkości. (!) Gdyby Niemcy zginęli, zginą zarazem jedyni nosiciele kultury w świecie. (!) I jemu przez akcentowanie metafizycznego powołania narodu niemieckiego chodziło o stworzenie religii, opartej na apologii walki, w czym był obok Hegla — jak słusznie dowodzi Suchodolski — jednym z następców mistyka Boehmego.

Najciekawsze jest jednak dla nas fichtowskie pojęcie państwa, które wespół z odnośnymi teoriami Hegla wywarło nieobliczalny wprost wpływ na rozwój niemieckiej myśli politycznej. Znajdujemy w nim gotowe recepty wiernie skopiowane i zrealizowane przez hitlerowskich władców. Ongiś Fichte, pisząc o państwie, miał na myśli jedynie „instytucję dla zewnętrznej ochrony prawa i własności“ (Messer op. cit.), w napisanym natomiast w r. 1800 dziele pt. „Der geschlossene Handelsstaat“ („Zamknięte państwo handlowe“) nie ma już śladu tych liberalistycznych tendencji. Państwo staje się tu organizacją, której celem jest kontrolowanie i kształtowanie wszelkich przejawów życia narodowego.

Autarkia i coś jeszcze

JAK wskazuje już sam tytuł „Der geschlossene Handelsstaat“ zaleca autarkię i to w skrajnej postaci. Państwo winno być zamkniętym i samowystarczalnym organizmem gospodarczym. By to osiągnąć (powtarzam streszczenie Suchodolskiego) „należy nieoczekiwanie odebrać od obywateli złoto i wprowadzić nowy pieniądz, uznawany tylko na rynku wewnętrznym. Dzięki tej operacji nie tylko przetnie się wszelkie kontakty własnych obywateli z zagranicą, ale równocześnie państwo „będzie mogło (wg własnych słów Fichtego) uzbroić się tak dobrze, iż żaden opór nie będzie mógł być stawiany przez sąsiadów“. Najlepiej też — jak pisze Fichte — zabór obcych terenów przeprowadzać zręcznie „bez rozlewu krwi, tak iż jego (tzn. państwa) operacje wojskowe będą raczej wyprawą okupacyjną, niż wojną“. Należy tu wykorzystywać strach żywiony przez gorzej uzbrojonych sąsia-

(Dokończenie na stronie 3)

Z wystawy grafiki czechosłowackiej

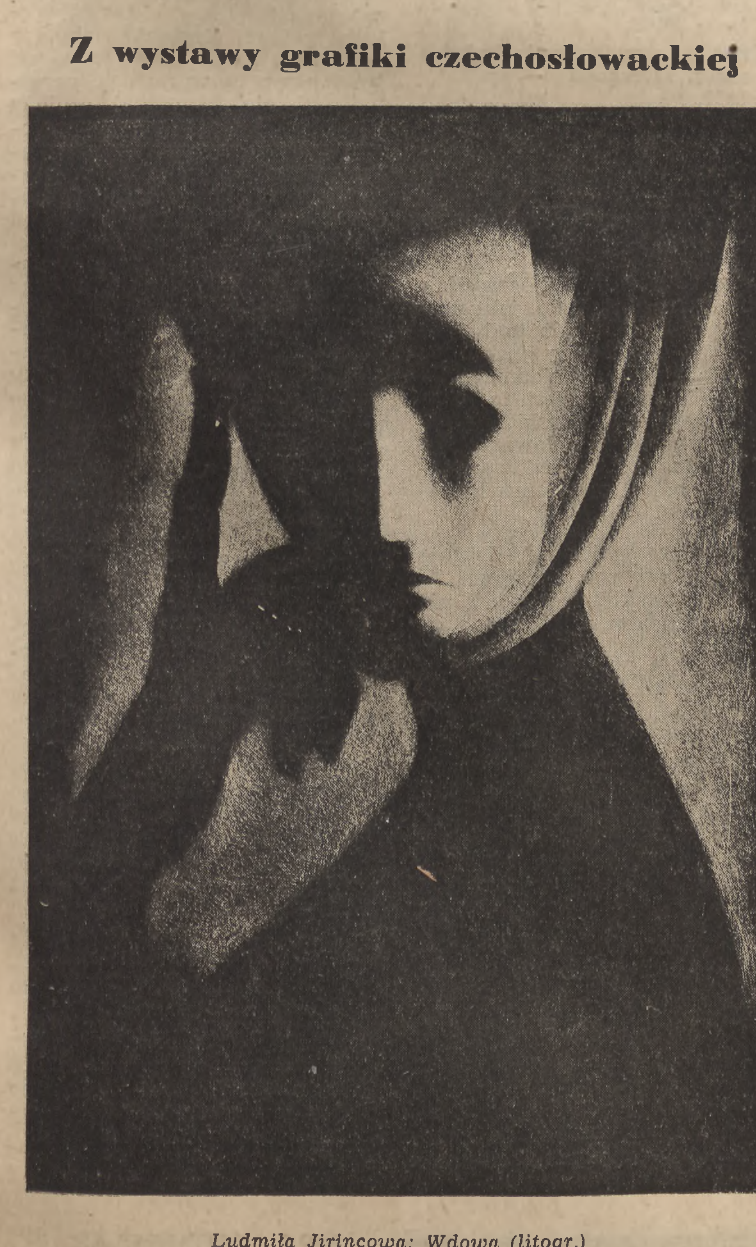

Ludmiła Jirincowa: Wdowa (litogr.)

JULIAN LEWAŃSKI

Podział na okresy i prawo rozwoju

Wiedza o Śląsku powinna zakończyć etap, w którym widzieliśmy przede wszystkim jego bohaterską walkę o polskiego ducha. Dziś wydaje się, że problem narodowościowy na całym Śląsku został wyczerpany, że trwa ostatnia jego zanikająca faza. Wydaje się więc, że problem jest już tylko wymierny ilościowo — za ileś tam lat mieszkańcy tej ziemi odpowiadać będą ogólnopolskiemu wzorowi, jeśli chodzi o wartości narodowe, żywe będą tutaj takie same autorytety społeczne, artystyczne i polityczne jak w całym kraju.

Z tego właśnie powodu czas już obecnie przestać przykładać do wszystkich spraw na Śląsku skalę zasługi narodowej. Miały takie zasługi organizacje chórów, dziennikarstwo, piśmiennictwo całe — nikt temu nie przeczy. Zostało to już zresztą mniej lub więcej dokładnie i poprawnie opisane. Bardzo ważne jest natomiast, że nic nie wiemy o tym dziennikarstwie i piśmiennictwie istotnie charakterystycznego, nie wiemy prawie nic o walorach artystycznych tak bogatej śląskiej pieśni ludowej.

Układaliśmy dotąd i układamy jeszcze najprostsze katalogi faktów politycznych, społecznych i kulturalnych. W dziedzinie historii literatury mamy właściwie tylko bibliografię. To co wiemy o dawniejszej literaturze na Śląsku — zawdzięczamy trzem autorom: Pawłowi Musiołowi, Tadeuszowi Grabowskiemu i Wincentemu Ogrodzińskiemu. Praca Ludwika Łakomego oceniana jest bardzo nisko. Dopiero literatura wieku XIX i XX znalazła więcej ciekawych i chętnych — nie zawsze fachowych — obserwatorów.

Ci ustawiają się w dwa szeregi.

Jeden rozpoczyna uniwersalny Lompa „Krótkim rysem dziejów piśmiennictwa Polskiego w Szląsku“, drukowanym w roku 1849. Inni to „Ksiądz“, czyli ks. Jan Kudera, autor licznych artykułów, rozprawek, „kart“, monografii miejscowości; tworzył je w Brzezince, której niczym Kant nie opuszczał dłużej niż na kilka dni w roku; była to więc twórczość o horyzoncie ograniczonym zasięgiem wzroku, ale ma dla nas wielką wartość obszernych indeksów nazwisk i faktów, które inaczej zginęłyby bezpowrotnie w niepamięci. Wymieńmy dalej dla przykładu Konstantego Prusa, wieloletniego redaktora pism miejscowych, którą to funkcję opłacił kilkudziesięcioma procesami z władzami niemieckimi. Ks. Emil Szramek łączył Kuderową znajomość terenu z wielką erudycją, rozmachem, wszechstronnością zainteresowań. Szereg ten wyznaczają dwie osoby: autorzy ci pochodzą ze Śląska, dostarczają dużo materiału z bezpośredniej obserwacji, oraz — nie posiadają wykształconych narzędzi badawczych, dali więc przede wszystkim biografie i oceny z punktu widzenia wartości narodowych.

Drugi szereg to: Ogrodziński, Paweł Musioł, A. Jesionowski, Z. Hierowski, Z. Obrzud, Z. Bednorz i niewielu sporadycznie piszących. Ci oświetlili małe wycinki tutejszej literatury, dorobek — to zbiór artykułów i broszur, różnej wartości. Wyjątkiem w tej grupie jest Ogrodziński — pierwszy to badacz zaprzedany całkowicie literaturze śląskiej. Można powiedzieć, że ją przeżywał — od starannych, obciążanych obszernymi komentarzami wydań śląskich autorów, przez liczne artykuły i rozważania o Winterze, Bocku, Bończyku, Jaroniu, Statecznym, — aż do wielkiej syntezy materiałowej, o typie rozumowanej bibliografii, jaką stanowią „Dzieje piśmiennictwa śląskiego“, druk-pogrobowiec.

Wszystkie przecież opracowania dziejów piśmiennictwa tej ziemi cechuje aż nadto wyraźnie jakiś specyficzny *horror artis*. Ani pisarzy nie opisuje się jako twórców, ani dzieł literackich jako zjawisk z dziedziny sztuki. Po dzień dzisiejszy literatura opisywana jest tutaj ciągle jako dokument przynależności narodowej pisarza, dzielnicy. Oglądana jest stale jako świadectwo czegoś, a nie było dotąd czasu na opis samego zjawiska. Szkice i artykuły pracowników młodszych nie odbiegają na ogół w użytym aparacie pojęciowym od typu publicystyki tygodniowej, nie posiadają ani szerszego oddechu, ani konsekwentnej linii — aspiracji wydobycia, opisania jakiejś wyodrębnionej całości poznawczej.

Odnotujemy dla ścisłości trzy pozycje wyjątkowe:

nieopublikowaną historię literatury P. Musioła,
„Śląski trud literacki“ Wilhelma Szewczyka,
„25 lat literatury na Śląsku“ Zdzisława Hierowskiego.

Jeżeli stwierdzamy brak opracowań historyczno-literackich piśmiennictwa śląskiego, a chcielibyśmy skonstatować prac takich potrzebę, należy jeszcze rozpatrzyć sprawę ceny i kosztu.

Wielekroć już notowaliśmy, że gdy się mówi o potrzebie takich, czy innych badań na Śląsku, wnioskodawca podejrzewany jest o aspiracje separatystyczne lub co najmniej zbytni, nieco naiwny i śmieszny patriotyzm regionalny. Czy warto zaprzęgać solidny aparat badawczy, absorbować ludzi, tracić szpalty dla spraw jednej z literatur prowincjonalnych, wcale nie najświetniejszej?

Swego czasu, robiąc próbę porządków terminologicznych, L. Koniński proponował właśnie nazwę „prowincjonalne“ dla takich utworów, które nie wejdą do „skarbca“ literatury polskiej ze względu na swój poziom. ale na prowincji (która je wydała) są czytywane i znane. Otóż trzeba stwierdzić, że każda wydrukowana książka, która dostaje się do spisu druków, księgarń i czytelni — wchodzi z pewnością do owego skarbca. Zwłaszcza, jeśli się stwierdzi, że była w ogóle czytywana, bo to decyduje o jej istnieniu jako treści kulturalnej. Można się spierać o to, która literatura ma większą wartość: czy ta dla elity, czy ta dla kuchennych schodów. Tamta jest starannie oprawiana i dyskutowana, tą — czytywana. Nie podejmując zresztą tego zagadnienia proponujemy wykluczyć z określeń piśmiennictwa śląskiego termin „prowincjonalne“ a odrębność struktury życia literackiego tutaj — zaznaczyć słowem „dzielnicowe“. Bowiem warunki narodowościowe a głównie polityczne — rzeczywiście stwarzały w tej dzielnicy zupełnie inne warunki dla pisarza i słowa polskiego, stworzyły w ciągu wieku XIX zupełnie autonomiczną krainę z własnymi dziennikami, autorami, wydawcami, bibliotekami. Gdy więc termin *literatura regionalna* niesie ze sobą tendencje separatyzmu (a słowo na Śląsku służyło zawsze spajaniu), gdy *prowincjonalna* zmuszałoby nas do szuka-

(Dokończenie na stronie 2)

Teka gostyńska

Gostyń, wrzesień 1947.

Obok Kujaw, Krajny, Pałuk, region gostyński tworzy najbardziej charakterystyczny skrawek południowej Wielkopolski.

. . . wjeżdżamy do Kościana, który usadowił się nad rzeką Obrą na południe od jej rozlewisk.

* * *

Dolina Obry to rozległe moczary, obsiane jeziorami i odwadniane licznymi rowami i rzeczkami. Obra płynie leniwie w korycie na wskroś nizinnym, nie posiadając ani należytego spadu ani też wyraźnego biegu. Część wód wpada u ujścia do Warty, część zaś do Odry.

Władysław Stachowski

Obra, rozlewająca się na „wszystkie strony" nawadniała teren ten, tworząc rozliczne bagna. Stąd duże połacie ziemi stały się nieużyteczne. Przystąpiono tedy do sztucznego odwodnienia doliny Obry: stworzono sieć kanałów sztucznych. Krajobraz jest tu jednostajny, dalekie obszary bujnych łąk są tu i ówdzie urozmaicone lasami, wyrastającymi na piaszczystych wzniesieniach, które wyłaniają się pośród moczar i torfowisk.

Niejako bramę do południowej Wielkopolski stanowi Jurkowo nad Obrą, skąd pochodzi chluba naukowa Wielkopolski, Kazimierz Morawski (1852—1925), rektor Uniw. Jagiell. i prezes Polsk. Akademii Umiejętności.

Zdążamy ku Lesznu. W życiu umysłowym Wielkopolski ma Leszno chlubną kartę. Nadmienić należy, iż w latach 1834 — 1849 wychodziło tu słynne, na całą Polskę, czasopismo „Przyjaciel Ludu", na którego łamach zamieszczali swoje prace m. in. Libelt, Estkowski, Moraczewski i. . . Lompa.

Leszno wydało dra Stanisława Karwowskiego (1848 — 1917), przebywającego pewien czas na Śląsku (Żegań, Głubczyce). Zapomniany ten bojownik o polski zachód objawiał szeroką działalność publicystyczną, w książce zaś pt. „Z przeszłości Szląska" (skreślił Wiktor Sońśki. Bytom, cz. I 1895, cz. II 1898) zwalczał kłamstwa Niemców w odniesieniu do Śląska Opolskiego i Dolnego.

Włoszakowice pod Lesznem wykołysały Karola Kurpińskiego (1785 — 1857), największego muzyka polskiego przed Moniuszką, pioniera Opery Narodowej i kierownika Opery Warszawskiej.

Wielkopolska południowo-zachodnia różni się obliczem i rzeźbą od pozostałych jej obszarów. Tu bowiem rozległy się trzy ośrodki oryginalnego a mało znanego folkloru: Pawłowice leszczyńskie, nadobrzański Przemęt i Biskupizna.

Przez Kąkolewo, Kosowo n/Obrą (skąd pochodzi dr. Stanisław Helsztyński, prof. Uniw. Warsz.), Golę, dobijamy do Gostynia.

* * *

Gostyń w wieku XIX stanowił jeden z najważniejszych ośrodków pracy kulturalnej w czasach pruskiego ucisku. Godzi się przede wszystkim nadmienić, iż „Kasyno gostyńskie" przez 100 lat wywierało zdecydowany wpływ na bieg dziejów wielkopolskiego społeczeństwa.

Stare to miasto posiada piękne zabytki architektoniczne m. in. farę gotycką z XV wieku i kościół — klasztor Oratorianów na Świętej Górze z cudownym obrazem Matki Boskiej. Kościół wybudowano na wzór weneckiej świątyni St. Maria Della Salute około 1675 r. Znawcy twierdzą, iż jest to najpiękniejszy barok w Polsce. Miasto chlubi się głośnym gimnazjum — dzieło ofiarności społeczeństwa Ziemi Gostyńskiej i niestrudzonego organizatora, ks. Olejniczaka.

Region gostyński wydał wiele wybitnych postaci zasłużonych naszemu krajowi, jak poetę tworzącego na przełomie XVI i XVII wieku, Kacpra Miaskowskiego ze Smogorzewa, poetę i krytyka Franciszka Morawskiego z Pudliszek, patriotów i działaczy: Umińskiego, Mycielskiego, Potworowskiego, Edmunda Naganowskiego, Aleksego Prusinowskiego, historyka Jędrzeja Moraczewskiego, Macieja Tretera, Irenę Stablewską i in.

Zabytki, przeszłość i zasłużonych ludzi tego regionu opiewa Stanisław Helsztyński w swoich sonetach regionalnych „Gostyń w pieśni" (Września, 1931).

* * *

W 1928 r. grono ludzi interesujących się czynnie zagadnieniami kultury i sztuki założyło „Fredreum" — Towarzystwo Kultury i Sztuki. Wydawało ono popularno-naukowe czasopismo ilustrowane „Kronikę Gostyńską" pod redakcją obecnego prezesa Towarzystwa Władysława Stachowskiego. Niestrudzony ten badacz i znawca gostyńskiego regionu zdołał szczęśliwie zachować nieocenione zbiory naukowe i skarby regionalne.

Skąd się wzięła w Gostyniu myśl wydawania takiego pisma? Dużą zasługę ma w tym Stanisław Czernik, który z opatowskich wyżyn przybył jako nauczyciel do gimnazjum gostyńskiego. Redagował pewien czas „Ziemię Gostyńską". Pismo, mimo wydatnej pomocy materialnej, przestało wychodzić, po opuszczeniu Gostynia przez Czernika. Uparci gostyniacy rąk nie załamali. Piękna inicjatywa natrafiła na grunt podatny i praca wielu autorów i uczonych (Stanisław Kozierowski, dr. Andrzej Wojtkowski, dr. Stanisław Helsztyński, dr. Marian Gumowski, dr. Zdzisław Grot, dr. Alfred Brosig, mgr. Alfons Szyperski, prof. W. Hahn i in) stworzyła z biegiem czasu pokaźne zeszyty „Kroniki". Nad szatą graficzną czuwał Karol Prausmueller, a artysta-malarz Boratyński rysował typy biskupiańskie. Pożyteczne to czasopismo obejmowało literaturę, historię, sztukę, heraldykę i etnografię.

„Kronika" wychodziła przez 10 lat, do roku 1939. Zamierza ją wznowić w niedługim czasie dyr. Stachowski. Powojenna praca gostyńskiego „Fredreum" przynosi również dobre plony. Sieje ono systematycznie zapał i entuzjazm dla pracy kulturalnej: miesięczne zebrania urozmaica się popisami artystycznymi z prelekcją czy odczytem kulturalnym. Zebrania te gromadzą liczne społeczeństwo, nawet chłopów z pobliskich wsi. „Fredreum" organizuje bowiem wszystkie imprezy kulturalne, wycieczki, wydaje biuletyn informacyjny, posiada własny chór i orkiestrę symfoniczną. Dyr. Stachowski zapowiada wznowienie sekcji teatralnej, aby krzewić znajomość komedii fredrowskich. Towarzystwo liczy przeszło 250 członków, lecz nie posiada własnego domu kultury!

Praca i wysiłki te zasługują w pełni na uznanie, tym bardziej że Gostyń — to „głucha", nie doceniana przez wielkie centra kulturalne prowincja.

* * *

Trzeba jeszcze spojrzeć na Biskupinę. Centrum jej stanowi miasteczko Krobia, która już w XIII wieku była letnią rezydencją biskupów poznańskich, posiadających tu swoje dobra. Mieszkańcy Krobi, Domachowa, Sułkowic, Wymysłowa itd. zachowali do dziś charakterystyczny strój regionalny, obyczaj przeróżny i pieśni. Zachwycać się tu można pięknymi chustami, motylistymi czepkami, ręcznie haftowanymi, fałdzistymi, wielobarwnymi spódnicami, zgrabnymi sukmanami chłopskimi, zwłaszcza w niedzielę i święta, kiedy biskupianie wyroją się z kościoła. Ludzie ci rzadko przekraczają granicę swego regionu, przeto są w reszcie Polski prawie nieznani.

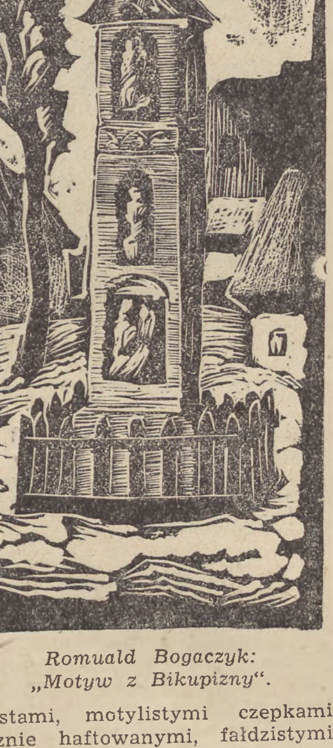

Romuald Bogaczyk: „Motyw z Bikupizny".

ADAM DYTKIEWICZ.

William Saroyan, pisarz z rzędu tych, którzy obecnie cieszą się największą popularnością w Ameryce, nie jest Amerykaninem. Jest Armeńczykiem, członkiem jednej z tych rodzin, które z Bliskiego Wschodu tureckie prześladowania religijne wypędziły na Daleki Zachód. Ze swego powołania literackiego zdał sobie sprawę dość wcześnie, bo już w trzynastym roku życia. Odtąd też odbywał samodzielnie studia przygotowawcze, polegające na czytaniu wszystkiego, co mu w ręce wpadło i opanowywaniu pisania na maszynie. W tym samym jednak czasie musiał sam zarabiać na chleb powszedni, który zdobywał najrozmaitszymi sposobami, począwszy od sprzedawania gazet i przycinania winnych latorośli w kalifornijskich winnicach, a skończywszy na pracy biurowej. Pierwszy sukces literacki uzyskał w roku 1934, mając lat 26. Przyniosła mu go nowela, zatytułowana „Śmiały chłopiec na latającym trapezie". Od tego czasu twórczość jego obejmuje szereg sztuk teatralnych, jedną powieść (pt. „Komedia ludzka", filmowaną w r. 1934-tym), oraz liczne zbiory nowel i opowiadań. Wśród tych ostatnich szczególną atmosferą i zacięciem pisarskim wyróżnia się niewielki zbiórek opowiadań, pt. „Nazywam się Aram". Są to opowiadania napół biograficzne. O ile zresztą można by się spierać o autentyczność postaci bohatera, chłopca o armeńskim imieniu Aram, o tyle nie ma żadnej wątpliwości, że opowiadania te są wiernym, plastycznym i znakomitym uwiecznieniem środowiska, w którym upłynęło dzieciństwo pisarza, portretem ludzi, których doskonale podtrzymał swym okiem, pełnym humoru, odtworzeniem atmosfery małego, kalifornijskiego miasta Fresno, zaludnionego po większej części przez uchodźctwo armeńskie. Szczególny egzotyzm tych serdecznych opowiadań, ich barwność i dowcip zyskały Aramowi tłum gorących wielbicieli. Mały chłopiec armeński stał się kolegą i przyjacielem wszystkich, którzy go poznali. Nie tylko zresztą on jeden, bo w cyklu tych uroczych opowiadań także i inni członkowie wielkiego klanu, do którego należał Aran ukazują się jeden po drugim na moment w kręgu światła latarni, kierowanej wolą autora. Migawki te zyskały tak wielkie uznanie wśród amerykańskich czytelników, że któryś z krytyków oświadczył w zapale: „Każde z tych 14-tu opowiadań, jest warte tyle co cały ich zbiór, a nawet więcej".

William Saroyan

Głos

Jedną z wielu ciekawych i rozkosznych rzeczy w tym kraju jest łatwość, z jaką ludek nasz przenosi się z jednej religii do drugiej, albo od zgoła żadnej do pierwszej lepszej, jaką się nadarzy, nie ponosząc przy tym żadnej szczególniejszej straty, czy zysku i prosperując nadal w pełnej niewinności serca.

Ja na przykład urodziłem się w religii katolickiej, chociaż ochrzczono mnie dopiero w trzynastym roku życia. Fakt ten, jak pamiętam, ogromnie zirytował proboszcza i skłonił go do zapytania moich, czy zwariowali, na co ci orzekli: „Nie było nas tutaj".

— Trzynaście lat i jeszcze nie ochrzczony! — wołał proboszcz. — Cóż z was za ludzie!?

— Jesteśmy przeważnie narodem rolniczym — odrzekł mój wuj Melik. — Chociaż mieliśmy i my swoich ludzi wybitnych.

Było to w sobotę po południu. Cała uroczystość nie trwała dłużej, niż 7 minut, ale nawet po chrzcie nie byłem w stanie poczuć najlżejszej różnicy.

— No — rzekła babka. — Jesteś teraz ochrzczony. — Czy czujesz się nieco lepiej?

(Zdaje się, że powinienem tu nadmienić, że od paru miesięcy czułem się nieprzeciętnie inteligentny, co doprowadziło babkę do podejrzenia, że jestem chory na jakąś tajemniczą chorobę, lub też, że zaczynam wariować.)

— Czuję się chyba tak samo — odrzekłem.

— Czy wierzysz już teraz? — zawołała. — Czy też wciąż jeszcze masz wątpliwości?

— Łatwo jest powiedzieć, że się wierzy — odparłem — ale, prawdę powiedziawszy, to nie wiem na pewno. Oczywiście, chcę być chrześcijaninem.

— No więc wierz tylko i spokojnie rób swoje.

To, co robiłem, było w pewien sposób niezwykłe, a w pewien sposób trudne do pojęcia. Śpiewałem w chórze chłopięcym Kościoła Prezbiteriańskiego przy Tulare Etreet. Dostawałem za to dolara tygodniowo od pewnej starszej damy, o nazwisku Balaifal, która smutna i samotna mieszkała w małym domku pod wierzbą płaczącą, tuż obok domu, gdzie mieszkał mój przyjaciel, Pandro Kolkhozian.

Chłopiec ten, tak samo, jak i ja, odznaczał się soczystym słownictwem. To znaczy — klęliśmy dość gęsto przy całej niewinności duszy oczywiście, a czyniąc to martwiliśmy panią, czy pannę Balaifal tak dalece, że postanowiła nas ocalić, póki jeszcze nie było za późno. Być ocalonym — to coś, o co przynajmniej nie sposób mieć urazy.

Panna Balaifal (będę ją odtąd tak nazywał, bo wtedy, gdy ją znałem, była z wszelką pewnością samotna, a nie jestem pewny, czy kiedykolwiek była zamężna, albo miała ochotę wyjść za mąż, albo nawet, czy była zakochana — oczywiście w znacznie młodszym wieku, a jeśli tak, to na pewno w jakimś gałganie, który całą rzecz traktował nie poważnie) — a zatem panna Balaifal była kobietą kulturalną, czytywała wiersze Roberta Browninga i innych poetów i była bardzo uczuciowa, tak bardzo, że wyszedłszy na ganek, by posłuchać, jak rozmawiamy, mogła wytrzymać tylko do pewnego momentu, a kiedy ta granica została przekroczona, zawołała: „Chłopcy! Chłopcy! Nie wolno się tak brzydko wyrażać!"

Pandro Kolkhozian, o ile robił wrażenie najbardziej nieokrzesanego chłopca na świecie, o tyle był na pewno chłopcem najdelikatniejszym i najbardziej uważającym, dzięki tym zaletom był mi szczególnie drogi.

— Tak jest, miss Balaifum — powiedział.

— Balaifal — poprawiła go dama. — Proszę was, chodźcie tutaj. Obaj.

Podeszliśmy do p. Balaifal i spytaliśmy, czego sobie życzy.

— Czego sobie pani życzy, Miss Balaifum? — spytał Pandro.

P. Balaifal sięgnęła do kieszeni zarzutki, wyjęła pakiet broszur i nie patrząc na nie wcale, dała nam po jednej. Moja broszurka była zatytułowana: „Wyzwolenie, historia pewnego pijaka", broszurka Pandra nosiła tytuł: „Nareszcie spokój, historia pewnego pijaka".

— Na co to? — spytał Pandro.

— Chcę, chłopcy, byście przeczytali te broszurki i starali się być dobrzy. Chcę, byście przestali się brzydko wyrażać.

— Kiedy o brzydkim wyrażaniu się nic tu nie jest napisane — rzekł Pandro.

— Z tych broszurek zaczerpniecie nieco dobrej nauki obaj. Przeczytajcie je i więcej nie wyrażajcie się brzydko.

— Dobrze, proszę pani — powiedziałem — czy to już wszystko?

— Jeszcze jedno, chłopcy. Czy byście mi nie pomogli przenieść fisharmonii z jadalni do salonu?

— Oczywiście, miss Balaifum — powiedział Pandro. — W każdej chwili. Wobec tego weszliśmy do domu p. Balaifal i powolutku przenieśliśmy fisharmonię z jadalni do salonu, podczas gdy starsza dama pouczała nas, jak mamy postępować, by nie zrobić krzywdy instrumentowi lub sobie.

— A teraz przeczytajcie te broszurki — rzekła.

— Dobrze, proszę pani — rzekł Pandro — czy to już wszystko?

— Chciałabym jeszcze, żebyście zaśpiewali, a ja wam będę grała na fisharmonii.

— Nie umiem śpiewać, Miss Balaifum — rzekł Pandro.

— Głupstwa mówisz — odparła starsza dama — z pewnością umiesz śpiewać, Pedro.

— Pandro, nie Pedro — rzekł Pandro. — Mój kuzyn nazywa się Pedro.

Prawdę powiedziawszy, właściwe imię Pandra brzmiało Pantalo, co po armeńsku znaczy majtki. Gdy zaczął chodzić do szkoły, nauczyciel, czy to przez niedbalstwo, czy też dlatego, że nie podobało mu się brzmienie tego imienia, zapisał go w swym notesie jako Pandro. Co zaś do imienia kuzyna, to ten nazywał się Bedros z miękkim b', co znowu w szkole zostało zmienione na Pedro. Było to oczywiście czymś zupełnie zwyczajnym i nic nikomu nie szkodziło.

Nic nie odpowiadając, starsza dama usiadła na krzesełku, umieściła stopy na pedałach fisharmonii i nie udzieliwszy nam żadnych wyjaśnień, zaczęła grać jakąś pieśń, która, sądząc z tego, jak była nudna, musiała być pieśnią religijną. Po chwili sama zaczęła śpiewać. Pandro cichutko wymówił pewne słowo, które z pewnością było bardzo brzydkie, o ile nawet nie nieprzyzwoite, ale na szczęście p. Balaifal nie dosłyszała. Głos p. Balaifal był w każdym razie mało porywający. Pedały skrzypiały o wiele głośniej, niż śpiewała, fisharmonia wydawała tony niezbyt czyste, ale pomimo to od razu można było spostrzec, że głos p. Balaifal nie należał do rozkosznych.

— Galileo, jasna Galileo! — śpiewała.

Zwróciła się do nas i skinąwszy głową powiedziała.: — A teraz śpiewajcie. Śpiewajcie, chłopcy.

— Nie znaliśmy ani słów, ani melodii, ale wydawało się, że wzajemna uprzejmość wymaga przynajmniej szlachetnego usiłowania; podjęliśmy je więc, starając się w miarę możliwości zgadzać się z muzyką, wychodzącą z fisharmonii i ze słowami, wychodzącymi z p. Balaifal.

— On był władcą gromów nad szalejącą Galileą — śpiewała.

Wszystkiego razem spróbowaliśmy trzech pieśni. Po każdej Pandro mówił:

— Bardzo pani dziękujemy, Miss Balaifum. Czy możemy już iść?

Nareszcie odwróciła się od fisharmonii i rzekła:

— Jestem pewna, że się do tego świetnie nadajecie. Jeżeli jakiś zły kolega będzie was namawiał do pijaństwa, odwróćcie się od niego.

— Na pewno się odwrócimy, Miss Balaifum — rzekł Pandro. — No nie, Aram?

Ja z pewnością — odparłem.

— Ja także — rzekł Pandro. — Czy możemy już iść, Miss Balaifum?

— Przeczytajcie te bruszurki. Jeszcze nie jest za późno.

— Przeczytamy je na pewno. Jak tylko będziemy mieli chwilę wolną. Wyszliśmy z domku starszej damy i umieściwszy się na podwórku przed domem Pandra zaczęliśmy czytać te broszurki. Zanim doczytaliśmy do połowy starsza dama ponownie ukazała się na ganku i głosem bardzo podniesionym i podekscytowanym zawołała:

— Który z was to był?

— Który z nas czym był? — spytał Pandro. Był do głębi zdumiony.

— Który z was śpiewał?

— Śpiewaliśmy obaj — odrzekłem.

— Nie, śpiewał tylko jeden. Jeden z was ma piękny, chrześcijański głos.

— To nie ja — rzekł Pandro.

— To ty — rzekła do mnie p. Balaifal. — Eugeniuszu, czy to ty?

— Aram — sprostowałem — nie Eugeniusz. Nie, nie przypuszczam, żebym to był ja.

— Chodźcie tu chłopcy — rzekła p. Balaifal.

— Który? — spytał Pandro.

— Obaj — odparła.

Kiedyśmy się znaleźli w jej domu i usiadła znów przy fisharmonii, Pandro rzekł: — Nie będę śpiewał. Nie lubię śpiewać.

— Śpiewaj ty — rzekła do mnie starsza dama.

Zaśpiewałem.

Starsza dama skoczyła na równe nogi.

— To ty! — zawołała — musisz śpiewać w kościele!

— Nie chcę! — odparłem.

— Nie wolno się brzydko wyrażać! — zawołała.

— Wcale się nie wyrażam brzydko i przyrzekam, że do końca życia nie będę się brzydko wyrażał, ale w kościele śpiewać nie będę.

— Masz najbardziej chrześcijański głos, jaki kiedykolwiek słyszałam!

— Ależ nie! — odparłem.

— Ależ tak! — zawołała.

— Wszystko jedno. I tak nie będę śpiewał.

— Ale musisz! Musisz! — nalegała.

— Dziękujemy bardzo, Miss Balaifum — odezwał się Pandro. — Czy możemy już iść? On przecież nie chce śpiewać w kościele.

— Ależ on musi! Musi!

— Po co? — spytał Pandro.

— Dla dobra swojej duszy.

Dobra poezja emigracji

Marian Pankowski jest młodym poetą, który w 38 roku zdobył pierwsze miejsce na konkursie poetyckim Koła Polonistów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z obozu koncentracyjnego po klęsce Niemiec dostał się do Belgii, gdzie na uniwersytecie w Brukseli jest lektorem języka polskiego. Tam też wydał dwa tomiki **„Pieśni pompejańskie"** w 46 r. i **„Wiersze alpejskie"** w 47. Oba zbiórki liryków cechuje uczulenie na przyrodę, witalizm i tęsknota za dzieciństwem spędzonym w Sanoku. Wiersze Pankowskiego były zamieszczane w naszej prasie emigracyjnej i cieszyły się dużym uznaniem. Ze zbiorku „Pieśni pompejańskie" zawierającego i próbę przejścia do form epickich, obrachunku z przeżyciami obozowymi i wojennymi, przedrukowujemy dwa poniższe wiersze:

MARIAN PANKOWSKI

DRZEWOM

Lipy, co stróżę macie nad potokiem
i miodną muchą brzęczycie harfiane.
W drzemce południa jak w grocie głębokiej,
znów mi zagrajcie huczącym organem!

Te pochylone, co kwitły najwcześniej,
na starość łaską bożą wyróżniane.
Siedziałem w gąszczu otulony pieśnią,
skubiąc gałązki do torby parcianej.
Jakie gałązki? Rózgi pszczół lipowych,
kwiat, który brzęczał i odurzał głowę . . .

Woń, co spłoszona krążyła przekornie,
miód jasnym brzękiem po gałęziach kapał . . .
Zrywałem kwiaty, ale w mojej torbie
dzwonił lipcowo południowy zapach.
A gdym treść wonną wysypał na stoły,
z torby radosne wyszumiały pszczoły . . .
. . . pająk czy komar wiszący nad wodą,
i mrówczym ściegiem szyta kora szara —
lipy dzieciństwa, sanockie jak młodość!
O, czarnolesie w chropawych konarach!

NAD POTOKIEM

Pocą się drzewa — ciężko dźwigać
na kruchych liściach upał dzienny.
— I lepką spadzią prószy gałąź,
na brzeg potoku z wonnej mięty.

Chłopcy się chlapią mącąc namuł,
tatarak w słońcu jak olejek!
— A brat wyrywa z czystej wody
listeczki niklowych oklejek.

Podział na okresy i prawo rozwoju

(Dokończenie ze strony 1)

nia wagi i mierzenia poziomów (a narzędzi takich właściwie nie mamy) — słowo „dzielnicowa" nie wnosi żadnej temperatury i oceny (jest tylko skonstatowaniem).

Gorsze więc te książki Miarki, „Katolika" i „Dziedzictwa" od innych polskich, ani mniej warte — nie są. Godne takiego samego zbadania jak każdy druk, złożony na ziemiach polskich. Dla naukowca zaś tym większy przedstawiają interes, że powstały w dzielnicy o odmiennym niż kraj życiu literackim.

Dzielnica śląska posiada swoją historię literatury — tak jak swoje kościoły i powstania.

Utarł się u nas zwyczaj, że zjawiska literackie ogląda się jako zjawiska historyczne, wiedza o literaturze opiera się na sądach, spostrzeżeniach historyczno - literackich. U podstawy rozważań nad literaturą śląską musiał się przeto znaleźć oczywiście problem jej historii, etapów rozwoju.

Tu stawiamy pytanie, czy można w ogóle rozważać istnienie historii literatury na Śląsku.

Stanąć bowiem można na stanowisku, że istnieje jedno piśmiennictwo w języku polskim i jedna jego historia. Wówczas trzeba by tylko bardziej precyzyjnie podać autorów i tytuły, które przez Korbuta, Chmielowskiego, Chrzanowskiego etc. zostały zaniedbane, opracować szereg monografii: romantyzm na Śląsku, pozytywizm na Śląsku etc.

Wiemy jednak, że dzieje książki mają tutaj swój odrębny wyraz, swoją mechanikę bardzo różną od tego, co się w wieku XIX działo w kraju. Nie było to zresztą wynikiem jakichś sił odśrodkowych — taką właśnie sytuację układały warunki polityczne i gospodarcze. Z tych właśnie przyczyn uważamy za słuszne mówić o własnych dziejach literatury na Śląsku aż po rok 1937, może 1939, kiedy to zatrą się ostatecznie różnice między autorami śląskimi i nie-śląskimi. Wtedy określenie „śląski" zaczęło już tylko znaczyć tyle, co pochodzenie autora, tematyka, a więc nabrało takiego waloru jak „marynistyczny", albo „sielankowy".

Jak podzielić ciąg dziejów piśmiennictwa śląskiego — zaproponował w swoim czasie Ogrodziński w rozprawie „Stan i potrzeby nauki polskiej w zakresie piśmiennictwa śląskiego", ogłoszonej w roku 1936, a stanowiącej początek wszelkiej poważnej wiedzy o tych zjawiskach:

okres I, średniowieczny, trwający do roku mniejwięcej 1500,

okres II, humanizmu i reformacji, trwający tu trzy wieki do roku 1800,

okres III, przebudzenia świadomości szczepowej — do roku 1872,

okres IV, wzmagania się poczucia narodowego polskiego — do roku 1902,

okres V, pełnego odrodzenia narodowego, od roku 1902 po czasy najnowsze.

Podział taki wynikał oczywiście z charakteru materiału, jaki nasz autor przebadał. Cóż to był za materiał: — nazwany jest nieco niedokładnie piśmiennictwem, czasami literaturą. Jest to jakaś suma twórczości śląskiej przekazana i utrwalona słowami. Pomieści się w tym i literatura, mianowicie to, co nazywamy literaturą piękną.

Charakter materiału dyktuje użycie właściwego narzędzia — zaniedbanie takiej reguły mści się karykaturalnymi wynikami.

Oczywiście podziału Ogrodzińskiego nie można użyć dla zjawisk takich, jak historia poezji, czy powieści na Śląsku. Nie wkraczając na teren starych i trudno dostępnych tekstów, teren wielkiej i specjalnej erudycji — możemy przyjąć ten podział na okres, który pokrywa się z epokami historyczno - kulturalnymi, choćby nawet przekraczał znacznie pewne daty. Natomiast okresy III, IV i V określone są zdaniami, które dla historyka literatury nie mają żadnego znaczenia, nie dadzą się w ogóle odczytać. Nie będą one również jasne dla historyka kultury. Należą bowiem do wąskiej specjalności — jakiejś historii politycznej i narodowościowej, a nie można ich przetłumaczyć na język innych dyscyplin.

Cała nowsza (po roku 1800) literatura na Śląsku da się podzielić na dwa etapy. Wyznaczy je stosunek autorów do materiału słownego, którym operują. Nie wnikając już w to, jakich zabiegów formowania materiału słownego pisarze używają, interesuje nas tworzywo, jakim się posłużą; to może być niezorganizowane, stanowić je będzie właściwie słownik języka polskiego, a ściślej słownik języka literatury polskiej; lub też operować będzie pisarz gotowymi schematami treści literackich, gotowymi poniekąd obrazami i sytuacjami, wycinkami nastrojów. W tym drugim wypadku pisarz świadomie zabiera z innych struktur poetyckich pewne elementy, aby je włączyć w swoje dzieło, które nie traci przez to wprawdzie oryginalności, ale zazwyczaj cenione jest niżej. Otóż w pierwszym okresie literatury omawianej pisarze przeszli długą drogę od rzemieślniczego obrabiania literatury na zamówienie społeczne, od naśladownictw — do twórczości naprawdę oryginalnej, ale właśnie takiej, która chętnie posłuży się na pewnych odcinkach gotowymi, wypełnionymi już schematami literackimi. Dopiero w trzecim dziesiątku lat naszego wieku wychodzą książki, którymi Kubisz, Baranowicz, Szewczyk, Osmańczyk, Morcinek zaprezentują twórczość „oryginalną" bez żadnych zastrzeżeń, której tworzywem jest tylko rzeczywistość i język. Daty tych właśnie edycji stanowią początek drugiego okresu nowszej śląskiej literatury.

Daty te pokrywać się też zapewne będą z wygaśnięciem autonomii życia literackiego na Śląsku. Oznacza to mniejwięcej tyle, co zniknięcie śląskiej literatury ludowej, zatracenie resztek odrębności regionalnej, a ściślej dzielnicowej. Jeśli bowiem w ostatnim ćwierćwieczu drukuje się w wydawnictwach popularnych autorów miejscowych, to zwykle z uwagą i komentarzem, ale już brukowej powieści dostarczają te same „groszowe wydawnictwa", które obejmowały cały kraj.

Jest więc prawdopodobne, że kończy się już historia tej dzielnicowej literatury, że będzie się już tylko mówić o tematyce lub pochodzeniu autorów — tak samo jak autorów środowiska warszawskiego czy podhalańskiego.

Julian Lewański.

Przegląd prasy niemieckiej

NEUE ZEIT

Berlin (str. sow.)

Nasze czasy nie są z pewnością ubogie w kulturalne osobliwości: wydaje się, jakoby wszędzie zagubił się fundament, jakoby w ogóle przestały istnieć miary, które dawałyby nam jakąkolwiek pewność. Po zagadkowym istotnie ataku berlińskiego „Horyzontu" na bajkę, nie poniechali mieszkańcy Radebeul okazania swemu byłemu współziomkowi Karolowi Mayowi, pełnej goryczy wrogości albo — starej przyjaźni. Znani przedstawiciele „Kulturbundu", usiłowali, po części za pośrednictwem mów programowych, napiętnować Old Shatterhanda jako winowajcę wojny, wazeliniarza i niedbalca. Do dyskusji zjawiło się wiele setek radebeulskich chłopców, którzy bronili Old Shatterhanda wyjąc na sposób Indian. Opisywanie sadystycznych metod tortury stanowiło główny zarzut, jaki stawiano pisarzowi z Radebeul. Kierownik biblioteki miejskiej chwalił natomiast Edgara Allana Poe, jakkolwiek ten pod tym względem był także mistrzem. Nie odbyło się bez specyficznej pikanterii, kiedy pewien jeneński profesor dowiódł, że Karol Liebknecht cenił Karola Maya bardzo wysoko i w żadnym wypadku nie chciałby widzieć go płonącego na jakimś nowym stosie, jak to zapowiadali panowie z Drezna także przez radio, które włączyło się do dyskusji.

Rzecz oczywista: Kara ben Nemsi ze swym sztućcem sprawił, żeśmy się zakochali w jego broni. Równocześnie jednak Ol Shatterhand wystawił ludzkości w swym „Winnetuo" pomnik, na któryśmy jako chłopcy patrzyli z podziwem. Dziś zapewne nie wydaje nam się Karol May do tego stopnia istotny, żeby go odrazu skazywać na spalenie. Wtedy właśnie musiałby on zyskać tę siłę przyciągania, na którą — w miarę naszych przeżyć — więcej nie zasługuje.

Dzisiejsze czasy są mimo wszelkich kazań moralizatorskich biedniejsze, jeśli idzie o zdrową moralność, aniżeli jakiekolwiek inne. Harce Old Shatterhanda są atoli naszemu sercu bliższe, niż głęboka nienawiść radebeulczyka, Karola Maya, którego chcianoby obciążyć zarzutem metod obozów koncentracyjnych.

(„Krigsbeil gegen Karl May")

NEUES DEUTSCHLAND

Berlin (str. sow.)

Pod jakim byśmy punktem widzenia studiowali dzisiaj „trzecią Rzeszę", jej język, sposób myślenia czyny i charaktery, zawsze i ciągle jawi się ona zaiste jako „zbiornik germańskiego romantyzmu". Ale w tym zbiorniku znajdą się obok siebie najokropniejsze i najogromniejsze zbrodnie, jakie kiedykolwiek i którykolwiek naród przyjął na siebie, romantyzmowi też zawdzięczają Niemcy wielką ilość duchownych i obyczajowych tworów. Może romantyzm wbrew wszelkim pozorom jednak nie zawinił nazizmu? Czyż nie buduje on swego decydującego zła na nauce rasizmu, na kulcie człowieka nordyckiego i na prześladowaniu Semitów? I to zło sięga gdzieś aż do Francuza Gobineau . . . Nie, Gobineau sam jest romantykiem i czuje się na wskroś dziedzicem niemieckiego romantyzmu . . . Ale czyż istnieje czystsza poezja, czystsza postawa duchowa, niż ta, którą reprezentował Novalis albo Hördelin? Od chwili upadku reżimu hitlerowskiego i powrotu do przytomności rozgrywa się proces o winę i niewinność romantyki; będzie on dla przyszłego historyka posiadał to samo znaczenie dziejowe, jakie dla epoki wilhelmińskiej i weimarskiej posiada rozdźwięk z podstępną parą pojęć: kulturą i cywilizacją.

Wartościowy i oryginalny (oczywiście także i nie całkiem bezpieczny) przyczynek do tego procesu, którego akta już pomnożyły się, stanowi wydana niedawno u Rohwolta książka Ferdynanda Liona „Romantyzm jako niemiecki los". Wysoka wartość tego studium mieści się w tym, że traktuje ono swój temat w dalekim zasięgu i szlachetnym dążeniu do sprawiedliwości. Lion pozostaje zawsze świadomy tego, że romantyzm jest w ostateczności fundamentem niemieckiego charakteru, Wyraz „romantyczny" (w znaczeniu: fantastyczny, awanturniczy) powstał gdzieś z końcem wieku XIII. Pełny rozwój i świadome zastosowanie znajduje ta narodowa podstawa dopiero w romantycznej szkole poetyckiej, która powstaje na początku XIX wieku i której idee w różnych kontynuacjach i wariantach pozostają żywe aż do czasów dzisiejszych.

Aż dotąd jest książka Liona rzetelnym przeglądem znanych estetycznych albo literacko-historycznych faktów. Teraz atoli następuje rozbudowa w społecznym i politycznym kierunku i teraz wyraża i narzuca autor w coraz wyższym stopniu własny pogląd. W romantyku Kleiście każe on natrafić romantyzmowi na grunt pruski. A to podług jego słów daje w wyniku śmiertelną, eksplodującą mieszankę. Romantyzm sam — to wspaniała niezależność i nieporównane bogactwo duchowe. Ale romantyzm i pruskość w chemicznym połączeniu — wszelki nieład cesarski i wszystkie śmiertelne grzechy hitlerowskich Niemiec — na to się właśnie w ostateczności składają. Cała pełnia charakterystyk i snutych rozważań oddzielnych naświetla tę tezę zasadniczo essaistycznie.

Czy jest ona istotna i czy jest ona zdolna odciążyć oskarżony romantyzm? Nie można prostym „tak" albo „nie" odpowiedzieć na oba pytania. Romantyzm jest niepowstrzymany, jest bojącą się wszelkiego ograniczenia grą czucia i pożądania. Gdy tylko ta nieposkromiona gra fantazji usiłuje zamienić się w rzeczywistość — nie musi to wcale być ludzką rzeczywistość — to ta rzeczywistość będzie zawsze gdzieś tam na sobie nosiła piętno wyuzdania. I zawsze będzie pobudzającym momentem romantyka, wrodzoną mu tęsknotą: urzeczywistnić grę swej fantazji i przeżyć ją w rzeczywistości. Lion to wie. To też uczciwość zabrania mu całkowitego oczyszczenia romantyzmu, jakkolwiek bardzo go kocha. Jest on dla niego „uwiedzionym przez pruskość uwodzicielem"(który odpowiednio do swej wewnętrznej istoty pozwolił się wcale łatwo uwieść.)

Troszeczkę jednak — i to jest niebezpieczeństwo tej książki przystępnej zresztą tylko takim czytelnikom, którzy posiadają dużą wiedzę literacką i filozoficzną; troszeczkę sam autor pozwolił się uwieść swojemu uroczemu pupilowi. Powiedziałem, że analizuje on elementy romatyzmu. Analizować jakąś treść znaczy: czynić ją literalnie jasną przez logiczny rozbiór, wyklarować ją rozumowo. Tym czasem jednak, zwłaszcza w omówieniu romantycznej nocy, zastępuje Lion analizę zachwycającym opowiadaniem i wariacjami. Mistyczna symbolika romantyków sprawia mu zbyt wiele radości, ażeby ją profanując wydobywał na światło trzeźwego dnia Gdyby praca jego ograniczyła się tylko do estetyki, gdyby nie ingerowała w politykę i gdyby nie zawierała tendencji wychowawczej, nie trzeba by tutaj mówić o niebezpieczeństwie. Ale z narodowo - wychowawczego punktu widzenia każda ciemność, jeśli nawet jest ona jeszcze lepiej pojęta i jeszcze kunsztowniej namalowana, wydaje mi się być tym, czegośmy dzisiaj najtroskliwiej powinni byli unikać. Wydaje mi się że to musiało być powiedziane, nawet jeśli samemu przez to popadło się w niebezpieczeństwo okazania się człowiekiem pospolitym wobec pięknego osiągnięcia.

(„Für und wieder die Romantik")

chrześcijański

Pandro znów szepnął to brzydkie słowo.

— Powiedz mi teraz, jak się nazywasz — rzekła p. Balaifal.

Powiedziałem jej.

— Jesteś oczywiście chrześcijaninem.

— Chyba tak.

— Oczywiście prezbiterianinem?

— Tego, to już nie wiem.

— Prezbiterianinem! — zawołała. — Oczywiście, że prezbiterianinem! Chcę żebyś śpiewał w prezbiteriańskim kościele przy Tulare Street, w chórze chłopięcym. W następną niedzielę.

— Po co? — spytał znowu Pandro.

— Potrzebne są nam głosy — wyjaśniła starsza dama. — Potrzebujemy koniecznie młodych głosów. Poszukujemy śpiewaków. On musi śpiewać w następną niedzielę.

— Nie lubię śpiewać — powiedziałem. — Nie lubię też chodzić do kościoła.

— Chłopcy — rzekła p. Balaifal. — Usiądźcie. Chcę do was przemówić. Usiedliśmy. P. Balaifal przemawiała do nas co najmniej pół godziny. Nie wierzyliśmy ani jednemu jej słowu, chociaż z grzeczności stale odpowiadaliśmy na jej pytania tak, jak czuliśmy, że chce, byśmy odpowiadali; ale gdy zażądała, żebyśmy uklękli, podczas, gdy ona będzie się modlić, nie chcieliśmy się zgodzić. P. Balaifal nakłaniała nas do tego przez pewien czas, a potem postanowiła zostawić nas w spokoju — na chwilę. Potem jednak próbowała znowu, ale absolutnie nie chcieliśmy tego zrobić. Pandro jej powiedział, że przeniesiemy jej fisharmonię, ile razy tylko zażąda i zrobimy jej wszelkie inne rzeczy w tym rodzaju, ale że pod żadnym pozorem nie uklękniemy.

— No, wobec tego — rzekła p. Balaifal — czy zechcecie przynajmniej zamknąć oczy?

— Na co? — spytał Pandro.

— Bo jest zwyczaj, że wszyscy zamykają oczy, kiedy się ktoś modli.

— A kto się modli? — spytał Pandro.

— Jeszcze nikt. Ale jeśli obiecacie, że zamkniecie oczy, ja się będę modlić, ale musicie obiecać, że zamkniecie oczy.

— O co się pani chce modlić? — spytał Pandro.

— Chcę się pomodlić za was, chłopcy.

— Na co?

— Krótki paciorek nic wam nie zaszkodzi. Zamkniecie oczy?

— No, dobrze — rzekł Pandro.

Zamknęliśmy oczy i p. Balaifal zaczęła się modlić.

Nie był to, zaiste, krótki paciorek.

— Amen — rzekła nareszcie. — No, chłopcy, nie czujecie się teraz lepiej?

Słowo daję, że nie czuliśmy się lepiej.

— Owszem, czujemy się lepiej — rzekł Pandro. — Czy możemy już iść, Miss Balaifum? Ilekroć będzie pani chciała przesunąć fisharmonię, zrobimy to dla pani z przyjemnością.

— Śpiewaj z całej duszy — rzekła do mnie p. Balaifal — i odwróć się od każdego złego kolegi, który cię będzie namawiał do picia.

— Dobrze, proszę pani — odparłem.

— Wiesz, gdzie jest kościół?

— Jaki kościół?

— Prezbiteriański kościół przy Tulare Street.

— Wiem.

— Pan Sherwin będzie tam na ciebie czekał w niedzielę o pół do dziesiątej rano.

No, to już wyglądało, jakbym był złapany w potrzask.

Pandro poszedł ze mną w niedzielę do kościoła, ale nie zgodził się stać razem z chłopcami z chóru i śpiewać. Usiadł w ostatnim rzędzie ławek w nawie, patrzył i słuchał. Co do mnie, to jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak nieszczęśliwy, a przecie śpiewałem.

— Pierwszy i ostatni raz — powiedziałem do Pandra, kiedv się to wszystko skończyło.

Następnej niedzieli oczywiście nie poszedłem, ale nie wyszło nam to na dobre, bo p. Balaifal znowu sprowadziła nas do siebie, grała na fisharmonii, śpiewała, nakłaniała nas do śpiewu, modliła się i najwyraźniej trwała w zamiarze utrzymania mnie w chórze chłopięcym. Broniłem się stanowczo, co zmusiło p. Balaifal do oparcia całej sprawy na bardziej światowych podstawach.

— Masz chrześcijański głos, jakich mało — tłumaczyła. — Głos, jakiego religia potrzebuje. Ty sam jesteś głęboko religijny, chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy. Ponieważ zaś tak jest, proszę cię, byś zechciał śpiewać dla mnie co niedzielę. Będę ci za to płaciła.

— Ile? — spytał Pandro.

— 50 centów.

Śpiewało się tam zazwyczaj jakieś cztery, pięć pieśni. Zabierało to wszystkiego pół godziny czasu, ale musieliśmy odsiadywać tam jeszcze godzinę, w czasie której ksiądz wygłaszał kazanie. Krótko mówiąc nie opłacało się.

Dlatego właśnie nie mogłem się zgodzić.

— 75 centów — podsunęła p. Balaifal.

Powietrze było ciężkie, kaznodzieja ględził potężnie, wszystko razem było bardzo przygnębiające.

— Jeden dolar — powiedziała p. Balaifal — ani centa więcej.

— Niechże będzie dolar i ćwierć — rzekł Pandro.

— Ani centa powyżej dolara.

— On ma najlepszy głos w całym chórze — rzekł Pandro. — Jeden dolar? Taki głos dla każdej religii wart dwa dolary.

— Ja już powiedziałam swoje — odrzekła p. Balaifal.

— Są inne religie — powiedział Pandro.

To, muszę przyznać, wytrąciło z równowagi p. Balaifal.

— Jego głos — rzekła z goryczą — jest głosem chrześcijańskim. A co więcej, jest prezbiteriańskim.

— Baptyści byliby radzi dostać taki głos za dwa dolary.

— Baptyści! — zawołała p. Balaifal z niejaką, ośmielę się twierdzić, pogardą.

— Niczym się nie różnią od prezbiteramów — rzekł Pandro.

— Jeden dolar — powiedziała p. Balaifal. — Jeden dolar i wymienimy twoje nazwisko na programie.

— Nie lubię śpiewać, proszę pani.

— Ale lubisz! Ty tylko myślisz, że nie lubisz! Gdybyś tylko mógł zobaczyć swoją twarz przy śpiewaniu! No...

— On ma głos, jak anioł — rzekł Pandro.

— Spiorę cię na kwaśne jabłko — powiedziałem mu po armeńsku.

— To nie jest jednodolarowy głos! — rzekł Pandro.

— No, dobrze, chłopcy, dolar i 15 centów, ale nic ponad to.

— Dolar i 25 centów, albo pójdziemy do Baptystów.

— Niechże będzie, ale muszę powiedzieć, że umiesz się mocno targować.

— Zaraz, zaraz! — zawołałem. — Ja śpiewać nie lubię. Nie będę śpiewał za dolara i 25 centów, ani w ogóle za nic w świecie.

— Umowa jest umową — powiedziała p. Balaifal.

— Ja się nie umawiałem. Pandro się umawiał. Niechże on śpiewa.

— Kiedy on nie umie śpiewać.

— Mam najgorszy głos na świecie — powiedział Pandro z wielką dumą.

— Za ten biedny głosik nikt by nie dał ani dziesięciu centów! — rzekła p. Balaifal.

— Ani złamanego szeląga — dodał Pandro.

— Wszystko jedno! — zawołałem. — Nie mam zamiaru śpiewać! Ani za dolara i 25 centów, ani w ogóle za nic. Nie potrzeba mi pieniędzy.

— Zrobiłeś umowę — powiedziała p. Balaifal.

— Tak, zrobiłeś umowę — potwierdził Pandro.

Skoczyłem na niego na środku salonu pp. Balaifal i zaczęliśmy się bić. Starsza dama chrześcijańska starała się nas rozdzielić, ale ponieważ nie była w stanie rozpoznać, który to z nas był chłopcem o anielskim głosie, zaczęła się modlić. Bitka trwała dalej, dopóki nie przewróciliśmy wszystkich mebli w salonie, z wyjątkiem fisharmonii. Mecz był na ten raz skończony, a zapaśnicy bez tchu leżeli na płask na grzbiecie.

P. Balaifal przestała się modlić i rzekła:

— A zatem w niedzielę za dolara i 25 centów.

Odzyskałem mowę dopiero po jakimś czasie.

— Proszę pani — powiedziałem. — Będę śpiewał w tym chórze tylko pod tym warunkiem, że Pandro będzie śpiewał także.

— Ależ on ma potworny głos — sprzeciwiła się p. Balaifal.

— Nic mnie to nie obchodzi. Jeżeli ja mam śpiewać, oni musi śpiewać także.

— Obawiam się, że on zepsuje cały chór!

— Musi tam ze mną przychodzić co niedzielę. Inaczej nic z tego.

— Czekaj, niechże się namyślę. Poświęciła tej sprawie chwilę uwagi.

— Umówmy się — rzekła wreszcie — że będzie przychodził i stał na chórze, ale nie będzie śpiewał. Powiedzmy, będzie tylko udawał, że śpiewa.

— To mi zupełnie wystarcza — odparłem. — Ale będzie musiał być tam cały czas.

— Co ja za to dostanę? — odezwał się Pandro.

— No wiesz! — zawołała p. Balaifal. — Chyba nie przypuszczasz, że będę płaciła i tobie!

— Jeżeli mam tam przychodzić, to mi musicie płacić!

— Dobrze — rzekł p. Balaifal. — Dolara dam temu, kto śpiewa, a 25 centów temu, kto nie śpiewa.

— Mam najgorszy głos na świecie — powiedział Pandro.

— Musisz postępować uczciwie. Zresztą przecież nie będziesz śpiewał. Będziesz sobie tylko stał z innymi chłopcami.

— 25 centów, to za mało.

Wstaliśmy z podłogi i zaczęliśmy doprowadzać do porządku umeblowanie.

— No, niech będzie! — rzekła p. Balaifal. — Dolara dla tego, co śpiewa. 35 centów temu, co nie śpiewa.

— Niech będzie 50.

— Zrobione. Więc dolar dla ciebie. 50 centów dla ciebie.

— Zaczynamy od przyszłej niedzieli? — spytał Pandro.

— Tak jest. Będę wam płaciła tutaj po nabożeństwie. I ani mrumru o tym przy innych chłopcach z chóru.

— Nie powiemy nikomu — zapewnił Pandro.

W ten sposób, w jedenastym roku życia zostałem niby prezbiterianinem. Przynajmniej na niedzielę rano. Nie chodziło tu o pieniądze. Chodziło po prostu o to, żeśmy się umówili i że p. Balaifal postanowiła sobie, że będę śpiewał dla religii.

Jak zacząłem jednak mówić już 6, czy 7 minut temu, dość dziwną rzeczą w naszym kraju jest łatwość, z jaką my wszyscy, a przynajmniej wszyscy, których znam, potrafimy zmieniać religie, nie przynosząc tym nikomu, ani niczemu żadnej dającej się zauważyć szkody. Gdy miałem lat 13 zostałem ochrzczony w armeńskim kościele katolickim, mimo, że wciąż jeszcze śpiewałem dla prezbiterianów i mimo, że sam zacząłem się nieco sceptycznie zapatrywać na całą tę konwencjonalną szopkę religijną; usiłowałem tędy, czy owędy zdobyć sobie prywatne zrozumienie tych spraw i dojść do własnego porozumienia z Wszechmocą. Nawet chrzest nie zdołał mnie w głębi serca zaspokoić.

W dwa miesiące po chrzecie zacząłem mutować i umowa z p. Balaifal została skasowana, co mnie przyniosło wielką ulgę, a dla niej było okropnym ciosem.

Co do armeńskiego kościoła katolickiego, przy Ventura Avenue, to bywałem tam jedynie na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. W pozostałym czasie przenosiłem się z jednej religii do drugiej, z czego w ostateczności nie wychodziło nic złego; a obecnie, tak, jak u większości Amerykan, wiara moja pobłażliwie ogarnia wszystkie religie, z moją włącznie, co mi pozwala dobrze życzyć każdemu, bez względu na to, czy wierzy, czy nie, byle tylko jemu było w tym dobrze.

Opowiadanie z cyklu pt.
„My name is Aram".
(Tłum. Małgorzata Stanisławska)

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Zmowa Demiurgów

Choć jesteśmy już zniechęceni nadmiarem książek o tematyce wojennej, nie nasycili jeszcze twórcy naszej ciekawości i nadal chciwie sięgamy po każdą nowość, na próżno szukamy jakiegoś dogłębnego spojrzenia, które by odsłoniło przyczyny katastrofy, jaką danem nam było przeżyć. Wojna nie tylko rozbiła spokojny świat, w którym ufnie żyliśmy, ale zachwiała naszym wyobrażeniem o człowieku. Udoskonalona technika, widzimy już to z lękiem, łatwiej odbuduje świat, niż my swą wiarę w człowieka. Dlatego przejawów człowieczeństwa poszukujemy przede wszystkim we współczesnej literaturze, gdy witryny wypełniają pamiętniki, podobne do filmów dokumentarnych, zdjęcia powierzchni wydarzeń, świetne realia, sytuacje dramatyczne, ale człowieka jest w nich tak mało; człowieka, któremu moglibyśmy zaufać po potopie nienawiści. Odkładamy więc te książki z uczuciem czczości i niechęci.

Na tle tej literatury zamąconej, nie mogącej się jeszcze uwolnić od przeżytego gwałtu, powieść Kazimierza Truchanowskiego — „Zmowa Demiurgów", jest wydarzeniem niezwykłym. Jest to śmiała próba przetransponowania lat wojennych na wielką partyturę fantazji symfonicznej. Autor w losie kreowanego przez siebie miasta przedstawia dzieje ludzkości. Przeciwstawia dwa chóry, zstępujący Burmistrzów, ojców miasta, którzy kierują nim jeszcze, choć ulegli słabościom, bo w ludzie żyje jeszcze pamięć i poszanowanie autorytetu dawnych władców i wstępujący chór zbuntowanych przedmieść, którym przewodzi obłąkany pychą dyktator. Między tymi dwoma zespołami, przewija się nutą człowieczą bohater powieści Adam.

Jest on mocno związany z przeszłością miasta, pamięta jego świetność i wielkość, zwłaszcza z czasów gdy władza spoczywała w ręku Ojca. Adam, najczulszy sejsmograf, pierwszy zgaduje nadchodzące niebezpieczeństwa, próbuje się opierać grożącej dyktaturze. Pozornie wszystkie jego wysiłki idą na marne. Adam nie ocali praworządności, gwałtowny rozwój wydarzeń, prowadzący do deifikacji dyktatora, a później do katastrofy miasta, jest rozwojem powiedziałbym naturalnym, jednostka nie przygotowana do walki równie brutalnej jak tłum podżeganych napastników, nie może się obronić.

Adam jest samotny, tak samotny jak tylko artysta być potrafi. Nie może też nikomu zaufać, nie znajduje zrozumienia mieszkańców miasta. On jeden ogarnia niebezpieczeństwo, myślą wybiega naprzód, gdy mieszczanie nie widzą, po prostu nie chcą dostrzegać grożącej zagłady. Nawet życzliwi mu kelnerzy i dziewczęta z pogodnych ulic nie czują z nim solidarnie, nie jednoczą się w obronie miasta. Jeśli nawet wspierają jego poczynania i cieszą się z chwilowych sukcesów, to z pobudek na wskroś osobistych, kierując się nie uświadomionymi pragnieniami i niechęciami. Losy mieszkańców miasta są i losami Adama. Pomimo, że nie może on na nie wpłynąć i na pozór jest tylko jeszcze jednym ze zwierciadeł, w których Truchanowski pokazuje nam zdeformowany obraz świata, staje się centralną postacią w powieści.

Adam jest nosicielem nadziei, kiedy miasto dokoła ugina się przed tyranem, jeden Adam zachowuje wiarę. Wolę walki umacnia w nim pamięć sprawiedliwych władców, którym lud władzę powierzył i świetnej przeszłości miasta. Dlatego w chwili przejęcia władzy nad miastem przez trybuna przedmieść, Adam chroni się do ratusza, zamieszkuje samotnie opuszczony gmach, którego uzurpator nie ośmiela się zająć, jakby przeczuwał siłę tradycji drzemiącą w starych murach.

Wrogiem Adama, zresztą i wrogiem miasta jest dyktator, pan Adolf, również artysta i kreator, ale artysta zły, zbrodniczy, opanowany pychą i spragniony oklasków, choćby je miał grozą wymusić. Jest to demoniczna postać, której symbolikę przejrzeć łatwo.

Ktoś, kto zapomniał, że władać miastem, to znaczy służyć mu, gdy rządy stają się coraz bardziej urzędowaniem, kabalistyką biurokratyczną, która przestaje zauważać człowieka, musi powstać fałszywy prorok, dyktator z przedmieść, artysta grający na najniższych instynktach. Obiecuje on wolność i szczęście ludowi, na początek uwalnia ich od sumienia i odwiecznego prawa, a żąda wzamian tylko posłuszeństwa. Wynajduje kolejno coraz nowych wrogów, którzy mają lud odgradzać od obiecanego raju; na nich tłum wyładowuje swój zawód i nienawiść. Każąc tłumowi walczyć i słuchać, uwalnia go od samodzielnego myślenia, odczłowiecza go, czyniąc powolną sobie kukłą.

Zachwianie sprawiedliwości, odtrącenie mądrych ustaw miasta, musi ściągnąć na dyktatora i jego zwolenników zasłużoną karę. Przeciwnikami antytwórcy stają się, na płaszczyźnie ziemskiej — pan z cygarem, a na niebieskiej — Bóg, którego „młyny mielą powoli", ale ostatecznie zamieniają w popiół zbuntowane dzielnice miasta.

Zdaje mi się, że symbolika, którą odszyfrowuje w słowie wstępnym powieści K. Czachowski, nie zacieśnia się wyłącznie do wojny ostatniej. Truchanowski użył znajomych nam postaci jedynie, by przybliżyć i ułatwić pochwycenie odwiecznego mechanizmu — jeśli władza powierzona przez bezbronny lud Burmistrzom, przestaje mu służyć, masy utraciwszy ufność łatwo ulegają agitatorom i popadają w niewolę tyranów. Tak przedstawiona sprawa walki o władzę, jest sprawą odwieczną i stąd płynie smutek autora. Choć ostatecznie wróg zostaje pokonany, ale kosztem ogromnych cierpień mieszkańców miasta i po straszliwych zniszczeniach. Nie wystarcza sama czujność i wrażliwość wróżebna artysty, by zapobiec katastrofie. Adam, jeśli nie chce, by los jego był losem każdego samotnego mieszkańca, tej drobiny narodu, na której się gromadzą na pozór niezawinione cierpienia, musi się sprzymierzyć z innymi. Przedstawia nam ich Truchanowski jako samotnych robotników, borykających się z wichurą. Adam czuje z nimi wspólnotę, wie, że są oni bohaterami, ale nie ma z nimi kontaktu, dzielą go mury i noc. I Adam, najszlachetniejsza postać powieści, czuje się współwinnym katastrofy, tak jak współwinnym jest każdy z nas, za mało mamy odwagi, ulegamy zmowie kłamstwa, uginano nas kolejno. Adam nie zdobywa się na heroiczny protest, gdy motłoch pali wśród wiwatów „Etiudę rewolucyjną" Szopena. Milczenie jego staje się tchórzliwym, bezsilnym przyzwoleniem.

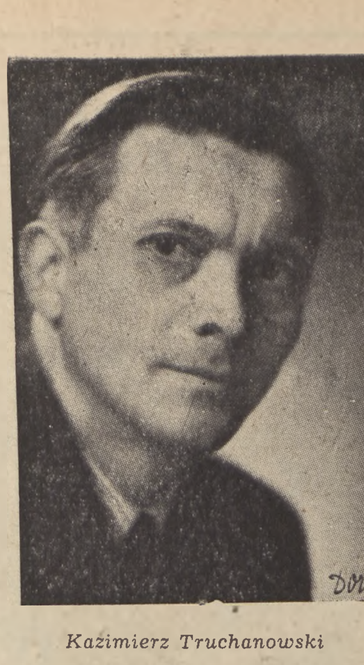

Kazimierz Truchanowski

Adam próbuje ratować miasto innymi sposobami. Krzywe zwierciadła mają ukazać władcom ich prawdziwe twarze, obnażyć ich całą słabość. Śmiech, szyderstwo jest bronią artysty, której najbardziej lękają się możni tego świata. Ale są schorzenia woli i serca, wobec których śmiech już nie wystarcza. Gwałt na sumieniach już został dokonany, wzbiera zło i nienawiść. Wtedy pozostaje już tylko nadzieja i Adam, artysta ją przechowuje.

Powieść Truchanowskiego jest deformacją we wielkim stylu, rozbudowaną konsekwentnie, narzuca czytelnikom atmosferę zbliżoną do zmory sennej, gdy poznajemy szczegóły, a jednak zostały one tak poprzestawiane, że musimy się z drżeniem błąkać. Miasto jest nam bliskie i znane, a nie możemy trafić do domu, gdzie nie czulibyśmy się już samotni i niepewni.

Nie czytałem lepszego pamfletu, będącego oskarżeniem naszej heroicznej naiwności, a zarazem i egoistycznych sprzymierzeńców, powolnych jak sprawiedliwość Boska, której nam przez lata całe zalecano wyglądać. Gra pomiędzy Adolfem, a „panem z cygarem", w której uczestniczy Adam, wołając z rozpaczą do swego towarzysza: „Przegrasz, mając pełno atutów w ręku!" — jest świetną syntezą naszego wojennego rozgoryczenia.

Ten rodzaj fantastyki, jaki reprezentuje Truchanowski, jest u nas bodaj jedyny. Truchanowski jest daleki od egzotyki, cieplarnianych potworności Szulca, jest mniej zmysłowy, a bardziej poetycki i muzyczny. Długa zrytmizowana fraza jego prozy unosi nas łatwo do tego dziwnego miasta, w którym przeżyliśmy wojnę. Nie jest to żadna kopia wojny realnej, ale jakby jej ekstrakt, w którym rozpoznamy znane nam uczucia, tyle razy przeżywane w latach ciemności — lęk i samotność. Smutek autora za utraconym miastem nasyca te obrazy budzącym wzruszenie — uciszeniem, jakie mają szeptane o zmierzchu zwierzenia i uderzającą czystością.

Wojciech Żukrowski.

◆◆◆

Ppłk. Władysław Krasnowiecki objął dyrekcję Państw. Teatru Śląskiego w Katowicach

---

Kronika czesko-słowacka

TRYBUNA MILCZĄCEJ GENERACJI LITERACKIEJ

Pod redakcją czeskiego poety Kamila Bednarza, wyszedł pierwszy numer nieperiodycznego pisma literackiego pt. „Ohnice". Na skutek powojennych przepisów prasowych, osoby prywatne a nawet także niektóre stowarzyszenia społeczne, nie mogą wydawać swych periodycznych organów prasowych w Czechach. Z tego też powodu, wspomniane pismo literackie, zaczęło wychodzić jako druk nieperiodyczny. Nowy czeski organ literacki, nazwany został przez recenzentów „trybuną milczącej generacji literackiej". Zespół pisarzy, jaki „ujawnił się" na łamach „Ohnice" nie przyznawał się dotąd do żadnego współczesnego kolektywu literackiego — jest dość ciekawe, że o samym Kamilu Bednarzu, prasa czeska podaje, iż „żył on po zakończeniu wojny tak trochę z poczuciem krzywdy". Na łamach „Ohnicy" opublikowało jedenastu poetów swe utwory. Prócz utworów poetyckich zamieszczono tutaj szereg utworów prozaicznych, artykułów oraz studium z dziedziny poezji. Na marginesie wydania „Ohnice", warto także zanotować, że to czego my w Polsce raczej nie uznajemy i o czym w ogóle nie spotykamy wzmianek w naszej prasie literackiej, to w Czechach jest nieraz bardzo obszernie komentowane czy to przez samych pisarzy, czy też przez krytyków literackich. Idzie tutaj o tzw. „czas milczenia", znamionujący niektórych pisarzy czeskich. „Czas milczenia", to duża pauza, kiedy pisarz wewnętrznie nie jest zdolny do jakiejkolwiek działalności literacko-twórczej. Właśnie przy rozpatrywaniu socjalnego bytowania pisarza, taki moment w życiu pisarzy nie jest przeoczony i jest brany pod uwagę. Czyli: pisarz powinien zawsze być odpowiedzialnym twórcą a nie rzemieślnikiem, „odwalającym" takie czy inne zamówienie społeczne.

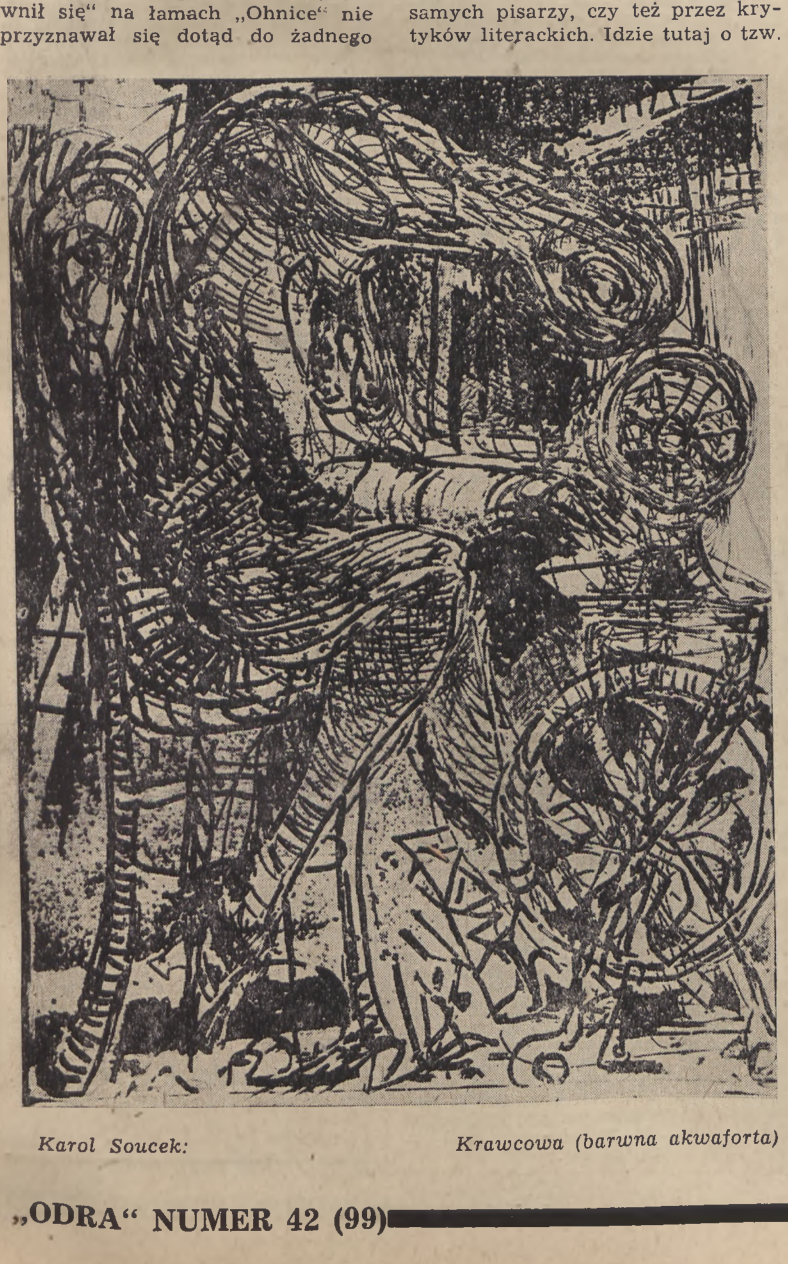

Karol Soucek: Krawcowa (barwna akwaforta)

PISARZE BUŁGARSCY GOŚĆMI PISARZY SŁOWACKICH

W Słowacji bawiła w tych dniach grupa pisarzy bułgarskich z prezesem Syndykatu pisarzy bułgarskich posłem Ludmilem Stojanovcem na czele. Prócz Stojanovca brała udział w wycieczce bułgarska pisarka Maria Grubeszliewa oraz pisarz Krum Kluljakov. Łącznie z pisarzami słowackimi ustalono plan przekładu kilku książek słowackich na język bułgarski i bułgarskich na słowacki.

CO PRZEKŁADAJĄ SŁOWACY?

Wydanie słowackiego przekładu „Pieśni o Bernadette" Werfla zapowiedziały aż trzy wydawnictwa słowackie na raz. W przekładzie na język słowacki wyszła powieść Hermana Hessego „Demian". Z literatury francuskiej wydano tom Mauriaca oraz najnowszy „krzyk mody", powieść pt. „Krew innych", znanej egzystencjalistki Simone de Beauvoir. Masowo przekładani są na język słowacki pisarze radzieccy i czescy. O przekładach polskich autorów... ciągle głucho. Wina w tym wypadku wyraźnie jest po stronie polskiej, która nie wykazuje dostatecznego zainteresowania się literaturą słowacką i jakimikolwiek z nią kontaktami!

„POLSKI ODPOWIEDNIK REPORTAŻU FUCZIKA"

Pod takim tytułem, berneńskie „Swobodne Noviny" zamieściły następującą recenzję:

„We Lwowie zostało wydane drukiem opowiadanie o jednej z najstraszniejszych katowni starej Polski, o obozie koncentracyjnym w Berezie Kartuskiej. Opowiadanie to — według lwowskiej wiadomości — zupełnie przypomina książkę Juliana Fuczika pt. „Reportaż pisany na stryczku". Autor tej książki, to postępowy pisarz Zachodniej Ukrainy, Aleksander Hawryluk, który za działalność rewolucyjną został przez piłsudczyków osadzony w tym obozie, a pozostał przy życiu tylko dlatego, że go uchronił od śmierci wrzesień 1939 roku, kiedy to armia czerwona zajęła Zachodnią Ukrainę i Białoruś.

Więźniowie w tym obozie koncentracyjnym byli narażeni na straszne męki. Nic tak nie charakteryzuje sytuacji tych więźniów, jak cyniczna wypowiedź policjanta, zanotowana w omawianej książce: „Więzień w Berezie potrzebuje tylko dwóch rzeczy: worka na kości i wiadra na krew". Hawryluk informuje w swej książce o prowadzeniu upartej działalności konspiracyjnej w obozie przez więźniów. Taka działalność dodawała im sił, i mogli wierzyć, że mimo wszelkich stosowanych męczarń, nie splugawią swego honoru. Autor powiada: „Można stać się tak twardym, aby człowiek wytrzymał i nie poddał się, ale to może się stać wtedy, jeśli wierzy w swój naród. Hawryluk przytacza szlachetne i bohaterskie wyczyny ludzi walczących o wolność, których nie złamały ani pałki gumowe ani głód. On sam znalazł w sobie na tyle upartej siły, że nawet w obozie tworzył literacko. Wszyscy polityczni więźniowie znają pamięciowo jego wiersze, które tam zostały napisane. Prócz niewolniczych pieśni, anonimowych wierszy politycznych i anegdot politycznych, które kursowały w obozie w języku polskim, białoruskim i hebrajskim, przez swą samorodną koncentracyjno-obozową kulturę literacką wniósł i swój „ukraiński wkład". W pierwszym dniu ataku niemieckiego, zginął Aleksander Hawryluk we Lwowie. Razem z nim w płomieniach pożaru zniszczony został cały jego dorobek literacki. Jednak dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, zostały zachowane jego konkretne szpalty ukraińskiego czasopisma „Literatura i mistectwo", które miało wyjść z druku w lipcu 1941 roku, i dla których przygotowana była „Bereza" Hawryluka. Ten właśnie tekst umożliwił wydanie reportażu wspomnianego autora".

POŻYTECZNA PUBLIKACJA

I Czesi posiadają swe „listy z teatru". Ostatni, 13 numer „Divadelniho zapisnika" zamieszcza na swych łamach szereg prac takich autorów jak: Józef Traeger, Kamil Bednarz (który publikuje tutaj swój oryginalnie ujęty list do autora „Chińskiej ściany") Maria Pujmanowa, Souczkowa i wielu innych. (Av.)

Następny numer „Odry"

100—101

ukaże się jako podwójny. Numer da interesujący przegląd sił literackich Wrocławia. Prócz artykułów, reportaży, prozy artystycznej i recenzji numer zawierać będzie kolumnę młodej poezji wrocławskiej. W numerze współpracować będą m. in. Anna Kowalska, Tadeusz Mikulski, Wojciech Żukrowski, Tadeusz Zelenay. Stałe działy, jak „Co robią Niemcy", Krótkie spięcia, Przegląd prasy niemieckiej i liczne ilustracje i rysunki dopełnią całości numeru, który kosztować będzie — 30 złotych.

Antenaci

(Dokończenie ze strony 1)

dów — sam widok siły uczyni użycie jej zbyteczne.

Kto by miał jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, że Fichte był wprost wizjonerem III Rzeszy, to przekonają go ostatecznie wskazówki dla postępowania z podbitymi, zawarte w omawianym dziele. Do najdrobniejszych szczegółów rozwinięto tam plan ucisku i wyzysku, który m. in. Kaltenbrunner czytywał chyba do poduszki. Wprzód trzeba wytłumaczyć nieszczęśnikom, że zaboru dokonano jedynie... dla ich własnego dobra. Następnie rozpocznie się racjonalną gospodarkę, szczególnie siłami ludzkimi. Będzie ona polegała w pierwszej linii na tym, by „część ludności nowych prowincji ściągnąć przyjaznymi sposobami (Kaltenbrunner wiedział jak to zrozumieć) do kraju rdzennego, na jej zaś miejsce przesiedlić tych, co mieszkali w dawnych granicach."

Machiavel wciąż aktualny

JEŻELI Fryderyk Meinecke (Die Idee der Staatsraison in der neueren Geschichte, wydanie 2, 1925) widział w dziejach „racji stanu" trzech czołowych reprezentantów myśli państwowej w osobach Machiavela, Fryderyka Wielkiego i Hegla, to zapomniał tu o Fichtem, któremu jako autorowi studium „Czy polityka Machiavela może mieć jeszcze zastosowanie w naszych czasach" (1807) należy się niemniej poczesne miejsce. I on przecież — nie ujmujmy mu „zasług" — grzmiał przeciw chorowitemu humanitaryzmowi, zachęcał do „agresywnego działania", łamania traktatów i narzucania ludowi siłą praw, co jest obowiązkiem władzy.

„Te zasady Fichtego — pisze w związku z tym Suchodolski — stały się na cały wiek aż po czasy dzisiejsze kanonami niemieckiej polityki i trzeba by całej książki, aby to udokomentować odpowiednimi cytatami." Oto i taki cytat! Nie grzeszący logiką August Messer (raz jest gotów omawianych filozofów prawie że potępić, potem znów wynosi ich pod niebiosa) tak zamyka w r. 1932 (op. cit.) swoją ocenę Fichtego: „Zlanie się społecznego, narodowego i humanitarnego (?!) nastawienia w osobistości i nauce Fichtego *musi* być (podkr. moje) dla nas przykładem przy odbudowie Niemiec." Niebawem się okazało, że nauka rzeczywiście nie poszła w las...

Nieporozumienia wykluczone

PISZĄC swego czasu o Nietzschem starałem się wbrew twierdzeniom śp. Hulki-Laskowskiego udowodnić, że Hitler i jego wspólnicy mieli pełne prawo powoływać się na autora „Woli mocy", ponieważ duch, który był motorem ich poczynań i zbrodni był bezsprzecznie nietzscheański. Z drugiej jednak strony nie ulega wątpliwości, że i obrona Nietzschego, gdyby go dziś postawiono przed trybunałem, miała by pewne, choć nikłe szanse. Inaczej sprawy wyglądają z Fichtem i Heglem. Tu nie może być mowy o paradoksach chorego ducha, tu nie ma fajerwerków rozgorączkowanej myśli ani sprzeczności wpadających na siebie, niby spienione konie. Tu jest system wypracowany z niemiecką dokładnością, tu wystarczy trzymać się równo nanizanych zdań, by sporządzić jasny akt oskarżenia.

Systemy Fichtego i Hegla nie dopuszczają, z małymi wyjątkami, takiego czy innego wykładu. Hitlerowscy potomkowie nie potrzebowali niczego preparować na swój użytek, bo wszystko mieli gotowe. I dlatego nie rozumiem zdań Furmanowa („Historyczne znaczenie filozofii Hegla") o zniekształceniu prawdziwej nauki Hegla przez pigmejów, których dzieli olbrzymia przestrzeń od genialnej myśli tego filozofa, a rozumiem natomiast w zupełności, że taki Juliusz Binder mógł w r. 1930 na kongresie w Hadze cytować całymi stronicami tegoż Hegla, chcąc udowodnić moralne prawo do rozpętywania wojen i konieczność zniszczenia traktatu wersalskiego. Jak widzimy w całości naszych wywodów był do tego w 100 procentach uprawniony. I on i inni. Opierali się na nader aktualnej mądrości, przekazanej przez idealistycznych antenatów. Quod erat demonstrandum.

Egon Naganowski.

800-lecie Moskwy

Plac Puszkina.

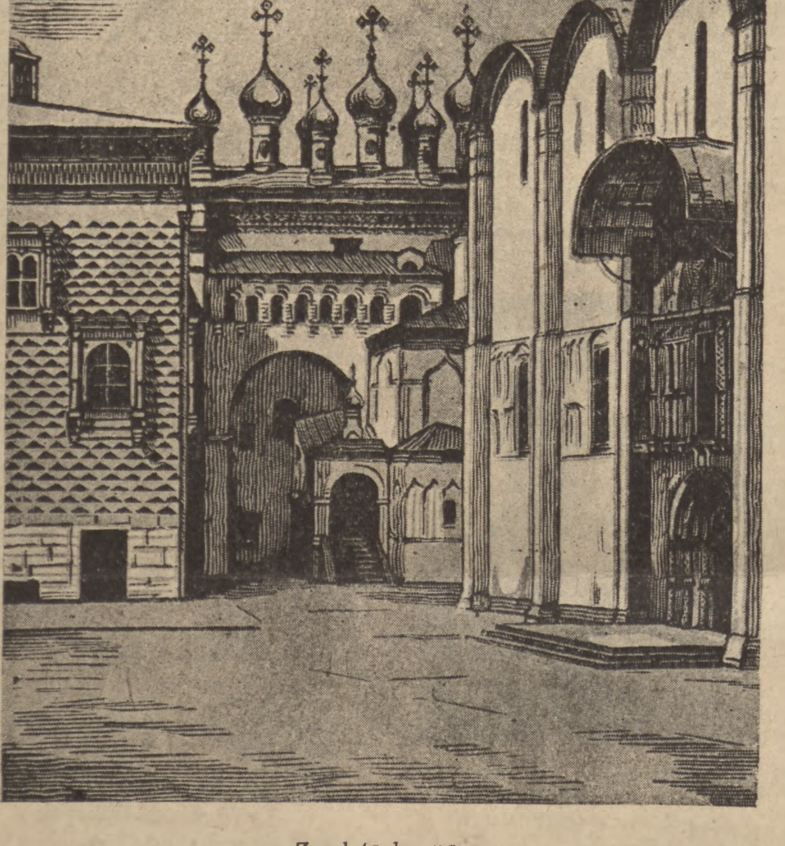

Za złotą bramą.

Wśród czasopism

Przezwyciężając zamiłowanie do dyskrecji czyli niechęć do czytania cudzych listów, ukradkiem czytuję jednak od czasu do czasu listy Eleutera do Felicji. Krępuje mnie czasem ich bardzo prywatny i ciepły ton, ale bawią mnie tam takie np. odkrycia, jak to, że owe listy są źródłem natchnień literackich dla p. Csato, który na ich wzór, ale z mniejszym jednak umiarem i znacznie rozwleklej pisuje recenzje teatralne. Zabawny i niemal wzruszający zarazem ton, jakim pisuje się w tych listach o ukochanym dziecku (jedynaku?) Eleutera i Felicji, Wojtku. Ostatnio zaintesował mnie jednak specjalnie krótki liścik Eleutera na temat pamiętników. Myślałem, że będzie tam mowa o pamiętnikach Janusza Minkiewicza, które zostały ostatnio przerwane w oczekiwaniu na dalszy ciąg życia autora, którego starczyło dotychczas tylko na 20 odcinków. Ale o Minkiewiczu nie było nic i ci wszyscy, którzy pragnęliby na temat jego pamiętników czytywać najwyższe pochwały i oceny *summa cum laude* skazani są nadal na poszukiwanie ich w przeglądach prasy w „Kuźnicy“. Natomiast Eleuter biada, że z pamiętnikami jest u nas w ogóle kiepsko, że nie mamy pamiętników interesujących, że wokół pamiętników panuje u nas atmosfera specyficzna, która sprawia, że autorzy wahają się z ich ogłaszaniem, że się pamiętnikarzom dającym materiał autentyczny utrudnia życie. Krótko mówiąc, „pamiętnikarstwo nie jest najsilniejszą stroną naszej literatury“.

Eleuterowi czasem można wierzyć, tym bardziej jeśli jego własne pismo na innym miejscu w tym samym numerze dostarcza dowodów potwierdzających jego tezy, głoszone w listach do Felicji. Bo chyba w tym tylko celu umieszczony został w tym samym numerze, co wspomniany powyżej list, fragment pamiętników *Stefana Krzywoszewskiego* pod buńczucznym tytułem *Warszawa, stolica Rzeczypospolitej. Już poprzednio Przekrój* uraczył swych czytelników dwoma urywkami tych samych wspomnień, zaznaczył jednak, że drukuje fragmenty pamiętników „nadesłanych redakcji przez Stefana Krzywoszewskiego“. W tej formułce tkwi jakaś tajemnica. Można się domyślać, że redakcja *Przekroju* zgodziła się na druk tych pamiętników na czyjeś usilne naleganie lub kategoryczne prośby, co ją naturalnie usprawiedliwia, choć ja bym może nie ustąpił. Np. drukowany w *Przekroju* opis morderstwa pewnej aktorki, przyjaciółki Krzywoszewskiego, odesłałbym do „Co tydzień powieść“. Wydrukowaliby z pocałowaniem ręki i tam byłoby to zupełnie na miejscu. *Nowiny Literackie* też uległy, ale żadnym dopiskiem tego nie zaznaczyły, więc z czystym sumieniem mogę uważać, że pamiętniki Krzywoszewskiego po pamiętnikach Minkiewicza stanowią ilustrację do owego twierdzenia, że „pamiętnikarstwo nie jest najsilniejszą stroną naszej literatury“. Zgodzi się jednak Eleuter, jeśli twierdzenie to uzupełnię, że mimo to jest współcześnie licznie u nas reprezentowane. Pisują obszerne wspomnienia trzydziestoletni młodzieńcy i siedemdziesięcioletni sędziwi nestorowie, i ten drugi przypadek jest nawet za zwyczaj cięższy. Ględzi Makuszyński, stare i głupie ploty bez ładu i składu opowiada Krzywoszewski, a nawet i nie taki znów sędziwy Morstin opowiada o swoich spotkaniach z ludźmi w sposób bardzo mało interesujący. W czasie okupacji niejednokrotnie wyrażałem zdanie, że po wojnie czeka nas zalew literatury pamiętnikarskiej. Proroctwo to spełniło się tylko częściowo. Pamiętników jest dużo, ale jeszcze nie tyle, ile należałoby oczekiwać. Dwie są tego przyczyny. Pierwsza to ta, że ci, którzy mają materiał do napisania pamiętnika i kwalifikacje na pamiętnikarza, piszą od razu powieść lub cykl opowiadań, druga natomiast przyczyna leży w tym, że nasza rzeczywistość powojenna jest dla wielu ludzi niespodzianką, z czego wynika nieodparta potrzeba jakiego takiego skorygowania lub ufryzowania swoich wspomnień, by autor mógł w ich świetle wyjść na prawdziwego demokratę i bojownika postępu, a w okresie okupacji na nieprzejednanego przeciwnika emigracji londyńskiej od chwili, gdy przekraczała ona most w Zaleszczykach. To są powody, dla których przy stosunkowo dużej liczbie pamiętników, prawdziwie dobrych jest mało.

*

Miesiąc polsko-radzieckiej wymiany kulturalnej stał się dla *Kuźnicy* okazją wydania specjalnego numeru poświęconego przede wszystkim literaturze radzieckiej, ściślej mówiąc rosyjskiej. Numer jest naprawdę interesujący i nasuwa pewne refleksje. Idą one w tym kierunku, że w propagowaniu haseł przyjaźni polsko-radzieckiej za wiele się u nas robi powierzchownej i krzykliwej propagandy, za mało natomiast jest w tej akcji roboty solidnej, obliczonej na trwałe skutki, na spowodowanie głębszych przemian w nastawieniu psychicznym społeczeństwa. Chodzi mi przede wszystkim o dziedzinę wymiany literackiej. Bo pokazano nam już kilka świetnych baletów, pokazano setki filmów, nie bardzo dbając zasadniczo o ich reprezentacyjny dobór, przystąpiono do zorganizowania na szerszą skalę przekładów podręczników uniwersyteckich tak nam dzisiaj potrzebnych, natomiast najmniej chyba uczyniono dla literatury radzieckiej. Z literatury tej przekłada się u nas mało i rynek księgarski ubogi jest w pozycje radzieckie. Podobnie rzecz ma się z teatrami, gdzie sztuki pisarzy rosyjskich wystawia się rzadko i jakby tylko dla „honoru domu“. Banałem już jest stwierdzenie, że nic tak trwale i ściśle nie zbliża, jak poznanie się dwóch społeczeństw poprzez dzieła ich najwybitniejszych pisarzy. Zakrojona na szeroką skalę, przemyślana akcja przekładowa z literatury rosyjskiej zrobi więcej niż najbardziej wymyślana i kosztowna propaganda. Chcielibyśmy wierzyć, że ktoś zajmie się tymi sprawami, że może nie czekając nawet na zapowiadany państwowy plan wydawniczy trzy wielkie spółdzielnie wydawnicze zawrą w tym względzie pewne porozumienie, stworzą pewien wspólny program, który jest przecież zupełnie możliwy i praktycznie wykonany, podobnie jak możliwy był plan wydania dwunastu klasyków polskich. W planie tym musi być uwzględniona nie tylko powieść i poezja, ale również historia literatury i krytyka. Z tego zakresu pozycji nie mamy zupełnie niemal poza kilkoma przedwojennymi, niedostępnymi dziś opracowaniami historyków i krytyków polskich, które jeśli nawet dotyczą czasów nowszych, nie zawsze są miarodajne w ocenach.

Wobec tych braków i luk specjalny numer *Kuźnicy*, bogaty i dobrze zestawiony, jest szczególnie pożyteczny tym więcej jeszcze, że przynosi zapowiedź dalszych publikacji z tego zakresu.

*

Na zakończenie jeszcze parę słów o godnej uwagi pozycji w *Odrodzeniu*. W n-rze 40 tego tygodnika objął małą stałą rubrykę Jerzy Andrzejewski. Będą to „kartki z dziennika lektury“. Nie recenzje, lecz notatki pisarza na marginesie książek dawnych, obecnie wznawianych. Ponieważ wznowień nie recenzuje się u nas, niestety, niemal zupełnie, „kartki“ Andrzejewskiego budzą duże zainteresowanie i będą pozycją pożyteczną. Zainteresowanie to jest tym większe, że właśnie nie będą to recenzje, lecz zwierzenia, uwagi i odkrycia osobiste wybitnego pisarza. Wstęp do do tej rubryki zapowiada dużo.

(ski)

Uskrzydlone głupstwo

2 sierpnia br. pewna zagraniczna agencja prasowa ogłosiła, że radio szwedzkie podało wiadomość o przyznaniu tegorocznej nagrody Nobla w dziale literatury norweskiej pisarce Marii Brekker za książkę „Matka Maria“. Wiadomość lekkomyślnej agencji podała prasa całego świata między innymi także i polska. Sprostowanie jednak — gdyż wiadomość okazała się zełgana — ukazało się w niewielu tylko pismach. Ostatnio nazwisko mitycznej Marii Brekker, ponoć 28-letniej pisarki, znalazło się także w wykazie laureatów Nobla, zamieszczonym w tegorocznym kalendarzu uczniowskim „Książki“ (nb. wykaz ten popełnia jeszcze jeden poważny błąd, opuszczając nazwisko laureatki z roku 1945, chilijskiej poetki, Gabrieli Mistral).

Redakcje całego świata darmo czekały na fotografię rzekomej laureatki Nobla, rozsyłanej zwykle równocześnie z ogłoszeniem orzeczenia jury. Dopiero zapytania w Sztokholmie położyły kres plotce. Przede wszystkim nagrody Nobla w roku bieżącym jeszcze nie przyznano (nastąpi to chyba w listopadzie). Książkę „Matka Maria“ napisała natomiast norweska pisarka Mai Lindegaard Broegger, otrzymując za nią 25 000 koron szwedzkich jako nagrodę skandynawskiego konkursu powieściowego.

Kora

Kronika jugosłowiańska

W Belgradzie otwarta została 8 czerwca księgarnia państwowego przedsiębiorstwa „Jugoslavenska knjiga“ (Jugosłowiańska książka), połączona ze stałą wystawą książek produkcji jugosłowiańskiej. Przewodniczący państwowego Komitetu dla kultury i sztuki, Władysław Ribnikar, dokonując otwarcia, zaznaczył w swym przemówieniu, że od chwili wyzwolenia do końca 1946 r. wydano w Jugosławii ponad 4.000 różnych książek i broszur (tych zapewne najwięcej) w łącznym nakładzie około 25 milionów egzemplarzy, a w ciągu samego 1946 r. ponad 2.500 książek, — co w porównaniu z latami przedwojennymi oznacza wzrost o 20%, a co do ilości egzemplarzy nawet o 500%. Drukarnie (podobnie jak i u nas) nie mogą nadążyć z pokryciem zapotrzebowania. Dlatego w ramach państwowego planu pięcioletniego zapowiedziany jest także wysiłek ku zwiększeniu możliwości wydawniczych. W myśl statutu i planów organizacyjnych przedsięciorstwo „Jugoslavenska knjiga“ ma urządzić w większych miastach wszystkich sześciu republik własne księgarnie, w których będzie można nabyć każdą książkę gdziekolwiek w Jugosławii wydaną. Ma to ułatwić wymianę między poszczególnymi republikami, jaka przed wojną prawie nie istniała. Księgarnie tej instytucji mają sprzedawać również i zagraniczne czasopisma, gazety i książki, lecz tylko takie, które „stanowią zdobycze prawdziwej kultury, a nie jakiejś pseudokultury“. Idąc po tej linii „Jugoslovenska knjiga“ przejęła już „Magazyn sowieckiej książki“ w Belgradzie i w ten sposób wzięła w swe ręce kolportaż wydawnictw sowieckich. Zadaniem jej jest także organizowanie własnych księgarń w większych miastach zagranicznych, zwłaszcza w państwach, z którymi Jugosławia utrzymuje ściślejsze przyjacielskie stosunki. Dwie pierwsze takie księgarnie otwarto już w Pradze i Tiranie, a wkrótce mają być utworzone w Paryżu i w Stanach Zjednoczonych.

Drugim polem działalności przedsiębiorstwa ma być podejmowanie takich wydawnictw, które z uwagi na swoją treść będą miały ogólnopaństwowe znaczenie, a równocześnie będą mogły służyć czytelnikom zagranicznym jako materiał do lepszego zapoznania się z życiem Jugosławii.

— Reportaż z księgarni Instytutu Wydawniczego Chorwacji (Nakladni Zavod Hrvatske), zamieszczony w tygodniku „Ilustrirani Vjesnik“, podaje kilka ciekawych informacji z tej samej dziedziny z terenu stolicy Chorwacji. Zainteresowanie książką również i tu bardzo wielkie. Wspomnianą księgarnię, największą w Zagrzebiu, odwiedza dziennie przeciętnie 4.000 osób wszelkich zawodów, z czego przeszło ⅓ dokonuje zakupów. Największym wzięciem cieszy się literatura polityczna, a jeśli idzie o autorów, to największy pokup mają dzieła marsz. Tita i wicepremiera Kardelia; następnie idą klasycy marksizmu: Marx, Engels, Lenin i Stalin. Pokup jest tak wielki, że całe nakłady rozsprzedaje się nieraz w dwa-trzy dni. Również wielkim zainteresowaniem cieszy się beletrystyka. Z autorów rodzimych najwięcej „idą“ Cesarec, Nazor, Krleża i Andrić, w ostatnich zaś miesiącach także i Słoweniec Prežihow Woranc. W przekładach pierwsze miejsce zajmują dzieła pisarzy sowieckich, jak Gorkij, Szołochow, Fadejew i Gorbatow, a za nimi Francuzi: Zola, Balzac, Maupassante i Romain Rolland. Oddział książki zagranicznej posiada na składzie wydawnictwa sowieckie, czeskie, bułgarskie, polskie, francuskie, angielskie, niemieckie i włoskie. Największy zbyt mają książki sowieckie. Żąda ich niemal co drugi kupujący. Ale też są one wprost bajecznie tanie. Tak np. wielotomowe kompletne wydanie Gorkija kosztuje 135 dinarów, a Sałtykowa 130 din. Z czasopism zagranicznych największym wzięciem cieszą się również sowieckie tygodniki i miesięczniki.

Wiktor Bazielich.

Po wypadkach sosnowieckich

Zdarzyła się rzecz smutna i hańbiąca. W Sosnowcu po meczu piłkarskim między AKS Chorzów a RKU Sosnowiec po zwycięstwie drużyny gości publiczność sosnowiecka rozpoczęła awantury, w wyniku których prócz rannych, powstały wielkie szkody materialne (przykład: zniszczono hydranty straży pożarnej, która usiłowała wodą uspokoić wzburzone tłumy). Cała prasa polska bez wyjątku potępiła awanturę sosnowiecką, wyrażając już w samych tytułach swój bezwzględny sąd: W Sosnowcu gorzej jak w Meksyku, Zbrodnia, Sport czy mord, Kibice czy bandyci, Meksykański mecz w Sosnowcu, Wstyd, Sosnowiec miastem hańby, Czas rozpocząć walkę z bandytyzmem na boiskach środkami przewidzianymi przez prawo karne itd.

W całej prasie polskiej ze zgrozą podano wiadomość o meczu sosnowieckim, ale tylko dzienniki śląskie wspomniały o właściwym aspekcie awantury sosnowieckiej, aspekcie czyniącym ją jeszcze bardziej panurą i groźną. Przypomnijmy sobie poprzedni mecz między obu powyższymi drużynami. Odbył się on w Chorzowie i został przerwany przez publiczność sosnowiecką, która niezadowolona z przegranej wkroczyła na boisko. Już wtedy strzelała milicja, już wtedy sędzia zawodowy został odprowadzony do szatni przez milicjantów, już wtedy padały okrzyki: Po mordzie volksdeutschów! bić Ślązaków! Prasa śląska zbagatelizowała wówczas wypadki zaszłe na boisku i oto mamy finał tej ponurej dzielnicowej zabawy: hańbę miasta, które skądinąd tak cenną i pożyteczną rolę spełnia w naszym państwie.

Hańbę miasta, bo na boisku było 25.000 ludzi. Słusznie pisze „Trybuna Robotnicza“: „W tłumie widzów byli członkowie organizacji społecznych, związków zawodowych, organizacji oświatowych, młodzieżowych, uczniowie, studenci itd. Co oni wszyscy robili w momencie, kiedy nieprzytomni awanturnicy krajali hydranty strażackie, kiedy miażdżyli cegłą milicjanta?“ Pytanie jest tragiczne. Zamiast odpowiedzi — milczymy. Dzielnicowe tło wypadków sosnowieckich nie ulega wątpliwości, jeśli się było na meczu i słyszało się okrzyki, jakie padały w czasie gry z ust tych, którzy po meczu wyciągnęli ukryte kastety, noże i kamienie. „Naprzód Polacy“ — oto okrzyk, którym zagrzewano do walki drużynę sosnowiecką. A przecież naprzeciwko stanęła także drużyna — Polaków. W okrzykach taiła się prowokacja. Jeden z graczy AKS-u po meczu prosił: „Nie bijcie, ja nie jestem Ślązakiem“. Starszy pan, próbujący uspokoić trybunę, nazwany został przez grupę wyrostków obrońcą hitlerowców. Szowinizm święcił triumfy na boisku sosnowieckim, nie mający już nic wspólnego ze sportem, karmiący się nienawiścią.

Była to zbrodnia — z premedytacją. Stwierdziła to „Trybuna Robotnicza“, pisząc: „Wszyscy przypuszczali! I to jest najbardziej przerażające. Zbrodnia z premedytacją, zorganizowana. Najlepszym dowodem jest fakt, że zorganizowana była również obrona, setki milicjantów, motopompy, służba pomocnicza. Bo wiedziano, że mecz sosnowiecki pachnie zbrodnią. Dlaczego więc dopuszczono do tego meczu w Sosnowcu?“ I znowu pytanie, na które brak odpowiedzi. W tym jednak razie winę ponoszą bezwzględnie władze sportowe, które publiczność sosnowiecką znają z podobnych, choć nie tak tragicznych wybryków na boiskach w Chorzowie i Wielkich Hajdukach.

Mecz sosnowiecki jest ostatnim potwornym sygnałem ostrzegawczym, że nienawiść dzielnicowa na odcinku śląsko-zagłębiowskim musi zniknąć. Na zagadnienie to trzeba skierować cały wysiłek a równocześnie myśleć musimy o sposobach usuwania zła a wprowadzania zgody, przyjaźni i porozumienia się. Dotychczasowe administracyjne jedynie środki zawiodły, a optymizm, który brzmiał w mowach i artykułach wielu dostojników Zagłębia śląskiego, wyszydzony został brutalnie na sosnowieckim boisku.

Kiedy w r. 1945 próbowaliśmy na łamach „Odry“ rozwiązać zagadnienie dzielnicowości śląsko-zagłębiowskiej za pomocą rzeczowej, spokojnej wymiany zdań, dzienniki katowickie zbagatelizowały naszą inicjatywę, uważając ją za „niepotrzebne rozdrapywanie ran“. Dziś po wypadkach sosnowieckich, bogatsi o to jedno tragiczne doświadczenie jak i o trzy lata wspólnej, często imponująco zgodnej pracy, jesteśmy szczególnie mocno przekonani, że dyskusja ta byłaby pożyteczna. Wiemy, że winy gromadziły się po obu stronach, jasne ich sobie uświadomienie może być cenną wskazówką na dalszą wspólną drogę.

Wracając jednak do wypadków meczowych, jest rzeczą jasną, że „Meksyk“ sosnowiecki trzeba uśmierzyć. Źle zrobił „Głos Ludu“, składając część winy na sędziego, ponoś mało obiektywnego. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla awanturników! Tym gorzej dla nich, że sport uczynili sobie terenem swoich zbrodniczych wyczynów.

Chcemy wierzyć, że po raz ostatni zarobił sobie Sosnowiec na tę smutną sławę miasta hańby. Wierzymy, że pracowite to miasto więcej już nie będzie synonimem Meksyku. Smutna analogia do pogromu kieleckiego, wysnuta przez jeden z dzienników, będzie zapomniana, a na zapewnienie to miasto i jego ludność z pewnością zarobią.

Jędrzej Makosz

Tydzień Katowic

22. 9. — 28. 9. 1947.

ŻYCIE LITERACKIE:

22. 9. W sali Instytutu Śląskiego odbyło się zebranie Komisji Literackiej, na którym referat p. t. „Twórczość Jana Jaronia“ wygłosiła mgr Michalina Pazdro.

22. 9. W sali Instytutu Śląskiego odbył się inauguracyjny w sezonie 1947-48 odczyt, w ramach imprez Klubu Literackiego, p. t. „Po Festiwalu szekspirowskim“. Odczyt wygłosił redaktor Mieczysław Markowski.

ŻYCIE MUZYCZNE:

28. 9. W sali Państwowej Filharmonii orkiestra Filharmonii wykonała I koncert popularny w nowym sezonie 1947/8 z udziałem skrzypka Fryderyka Sadowskiego, który odegrał koncert F-mol Mendelsohna. W programie znajdowały się utwory Żeleńskiego, Karłowicza i Bizeta. Dyrygował Włodzimierz Ormicki.

27. 9. W sali Państwowej Filharmonii odbył się „Wieczór Artystyczny“ zespołów świetlicowych, poświęcony akcji spółdzielczości. Udział wzięły: Orkiestra symfoniczna fabryki „Koksochemia“ z Knurowa, zespół baletowy fabryki elektrod. z Raciborza, chór męski fabryki azotów z Chorzowa. Wykonano pieśni chóralne i solowe Trzcienieckiego, Sztcwiertni, Ślązaka. Tańce i muzyka Lehara i Bocciniego. W programie również satyry, recytacje i inscenizacje okolicznościowe współczesnych autorów polskich. Kierownictwo artystyczne: Profesor St. Ślązak. Cały dochód przeznaczono na odbudowę Warszawy.

28. 9. W teatrze im. Wyspiańskiego Śląsko - Dąbrowski Wojewódzki Komitet Obchodu Dnia Spółdzielczości zorganizował Akademię, na program której złożyły się recytacje w wykonaniu St. Winczewskiego, artysty dramatycznego Teatru Śląskiego, pieśni Szopskiego, Wallek - Walewskiego, Nowowiejskiego w wykonaniu chóru „Echo“ pod batutą Romana Mackiewicza — utwory fortepianowe Chopina w wykonaniu Tadeusza Zmudzinskiego oraz pieśni Chopina, Rubinsteina i Moniuszki w wykonaniu Elżbiety Tomalanki, Ady Pilchówny przy akompaniamencie Zofii Safirowej oraz pieśni Moniuszki w wykonaniu Antoniego Majaka, art. Opery Śląskiej przy akompaniamencie Sergiusza Nadgryzowskiego.

Życie teatralne:

29. 9. Na małej scenie Państwowego teatru w Katowicach, wznowiono cztero-aktową komedię francuską Marcelego Dullud'a p. t. „Historia dwu serc“, z udziałem Zofii Grabowskiej i Aleksandra Żabczyńskiego.

29. 9 — 5. 10. 47

Życie muzyczne:

2. 10. W auli śląskich - technicznych Zakładach Naukowych przy ul. Krasińskiego 8, odbył się na zakończenie wystawy akademickiej koncert uczniów Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. W programie wykonano utwory muzyków polskich i obcych.

3. 10. W sali Filharmonii Państwowej przy ul. Sokolskiej 2, odbył się wielki koncert symfoniczny staraniem Wojewódzkiego Komitetu Odbudowy Warszawy i Dyrekcji Filharmonii. W programie utwory Rossiniego, Czajkowskiego, Ponchillego, Gounoda i innych kompozytorów w wykonaniu orkiestry filharmonicznej i artystów Opery Śląskiej: W. Calmy, B. Kostrzewskiej, J. Lachetówny, A. Hiolskiego i A. Majaka. Dyrygował W. Krzemieński. Dochód przeznaczono na odbudowę Warszawy.

Teatr:

5. 10. W sali Filharmonii wystąpili artyści Opery i Operetki z programem popularnych pieśni, arji i duetów z operetek. Udział wzięli: Maryla Karwowska i Janusz Popławski. Akompaniament objęła Natalia Hornowska.

Krótkie spięcia

Mistrz Jan

Narzeka się ostatnio u nas coraz bardziej, że poezja zupełnie nie „idzie“. Tomików, a tym bardziej tomów poetyckich, nikt nie chce wydawać, tłumacząc się brakiem papieru. Poeci strasznie się na to oburzają, zaś krytycy czynią to samo.

I jedni i drudzy mają świętą rację, tylko że racja nie rozwiązuje jeszcze istoty zagadnienia. Co trzeba robić, żeby poezje „szły“ — oto pytanie!

Zdaje się, że na pytanie to odpowiedział już niejaki p. Lenard Jan, mieszkający w Krakowie-Podgórzu przy ul. Limanowskiego 20, m. 9. On to został wydawcą swoich utworów poetyckich w zbiorku pt. „Zbiór najnowszych piosenek“, i zbiorek ów postanowił udostępnić szerokim warstwom naszego społeczeństwa. Oczywiście, że p. Lenard Jan, włożywszy w swoje dzieło odpowiedni kapitał, nie miał wcale zamiaru, by żółkło ono za witrynami wystaw księgarskich. To by się mijało z celem udostępniania dzieła. Wobec powyższego zatem p. Lenard Jan zastosował względem „Zbioru najnowszych piosenek“ system bezpośredniej jego sprzedaży na placach, targowiskach, tandetach i tym podobnych miejscach, gdzie jak na ateńskiej Agorze gromadzą się liczni amatorzy poezji, za jedne dwadzieścia złotych.

Wprawdzie poezja, rozprzestrzeniana przez p. Lenarda Jana, nie jest typu Przybosia lub Ważyka, ani nawet niezapomnianego mistrza Andrzeja Własta, niemniej jednak znajduje chętnych nabywców. I to pomimo, że jest ona, jak się to mówi, tu i ówdzie mało komunikatywna czyli po prostu niezrozumiała. Na przykład w utworze pt. „Piosenka sieroty“ już w pierwszej zwrotce napotykamy właśnie na taką małą komunikatywność:

„Ach, ja biedna, nieszczęśliwa,
Gdzież swe kroki zwrócić mam?
Matka dziś spoczęła w grobie,
Jam została sam na sam.“

Otóż biedna, nieszczęśliwa sierota w przeciwieństwie do wszystkich innych sierot, które zostają same, tłumaczy nam, że została sam na sam. No dobrze, ale z kim została biedna, nieszczęśliwa sierota sam na sam? I dlaczego?... Niestety p. Lenard Jan tego nie wyjaśnia zupełnie i aż do końca swego utworu poetyckiego zagadki tej nie rozwiązuje. Tym samym jednak spełnia postulat nowoczesnej poezji, czyli że stara się być niezrozumiały, jak tylko potrafi.

Dalej np. biedna, nieszczęśliwa sierota wpada znowu w enigmatyczność i małą komunikatywność, kiedy tłumaczy nam:

„Wszystko dla mnie jest stracone,
Chociaż młoda, pragnę żyć,
Ale los okrutny — srogi,
Rozkazuje — tak ma być!“

A więc sprawa przedstawia się tak: Biedna, nieszczęśliwa sierota tłumaczy się, że chociaż młoda, pragnie żyć. Młodość bowiem nie powinna zasadniczo pragnąć żyć. Ale los okrutny, srogi, rozkazuje biednej nieszczęśliwej sierocie, że tak ma być. Co ma być? Że nie ma pragnąć żyć? Czy też, że nie ma być chociaż młoda? Ach, nie wiemy, nie wiemy...

Następne zwrotki są również pełne takich ciekawych, aczkolwiek nierozwiązalnych zagadek, ale do najbardziej interesujących (pod tym względem) należy zwrotka ostatnia, tej treści:

„Nie wypowie łez przelanych,
U mogiły tych „Nieznanych“,
Którzy walcząc krew i blizny,
Życie dali dla Ojczyzny.“

Możemy więc, jak każdy się łatwo domyśli, dwa, a nawet i trzy dni zastanawiać się nad pytaniami: Jak można walczyć krew i blizny? Dlaczego da się walczyć krew i blizny? Co trzeba robić, aby walczyć krew i blizny? itp. — ale na pytania te nie znajdziemy nigdy odpowiedzi.

Utworów podobnych wydawnictwo p. Lenarda Jana zawiera sporo, coś z jedenaście sztuk, i niestety brak miejsca nie pozwala nam na szczegółowy rozbiór każdego z nich. Mimo wszystko nie możemy się powstrzymać przed zacytowaniem dwóch niemal klasycznych już, jeśli chodzi o całość zbioru, zwrotek z wspaniałego innego utworu pt. „Już nieszczęścia minął mrok“:

„Już Gestapo nas nie lęka
Ni obozów straszna męka,
Każdy wolny, jak ma być,
Bo nie trzeba już się kryć.

Mańka z Józkiem raz w niedzieli
Siedli sobie w karuzeli
I w powietrzu się bujali
Niczem lotnik do nich wcali.“

Jak widzimy, poeta operuje tu znakomitymi kontrastami (obozy — karuzela) oraz wspaniałymi neologizmami (słowo „wcali“), chociaż dobrze by było z drugiej strony, aby jakiś chirurg zoperował mu mózg.

No tak...

Dlaczego jednak zajmujemy się poezją i wydawnictwem p. Lenarda Jana (Kraków-Podgórze, ul. Limanowskiego 20, m. 9)? Otóż dlatego, aby nasi poeci, narzekający na to, że wydawcy nie chcą ich wydawać z powodu braku papieru, poszli za przykładem Mistrza Jana. Mistrz Jan otrzymał przecież przydział papieru na zbiór swoich utworów, uzyskał zezwolenie Biura Kontroli Prasy i Wydawnictw, dlaczegożby więc nie mogli tego samego otrzymać inni mistrzowie pióra, bardziej już renomowani?...

Trzeba tylko, Panowie Poeci, chcieć i pójść śladami Mistrza Jana. Kołatać, domagać się, żądać! A może będzie Wam otworzono!...

Nie piszecie wprawdzie takich poezji, jak „Piosenka Sieroty“ lub „Już nieszczęścia minął mrok“, ale kto wie, czy usilnie pracując z czasem do nich się nie zbliżycie.

A jak już osiągniecie poziom Mistrza Jana, to wtedy powodzenie będziecie mieli murowane! Nie mówiąc już naturalnie o przydziale papieru.

NIEJAKI X.

Sprawy zachodnie w prasie polskiej

A. Polityka i gospodarka.

Włodzimierz Sokorski, Zjazd przemysłowy w Szczecinie (Związkowiec nr 38); **Marian des Leges,** Odbudowa Gdańska (Odrodzenie nr 37); **Adam Czekalski,** Handel Szczecina z Polską w wieku XIII i XIV (Polska Zachodnia nr 36-37); **Roman Łyczywek,** Warunki działania przemysłu na Pomorzu Zachodnim (j. w. nr 36-37).

B. Nauka, kultura, sztuka

Stefan Papee, Z notatnika nauczyciela śląskiego (Nowiny Literackie nr 26); **Ludwik Gomolec,** Prasa polska w Niemczech po II wojnie światowej (Przegląd Zachodni nr 7-8) **Roman Jakimowicz,** W sprawie atlasu wczesnohistorycznego Pomorza (Przegląd Zachodni 7-8); **Jacek Puget,** Z życia artystycznego Śląska (Przegląd Artystyczny nr 6-7); **Alfred Kowalkowski.** O charakter człowieka zachodniego (Arkona nr 7-8).

C. Literatura i reportaż

Fr. Lewandowski, W grodzie Krzywoustego (reportaż z Jeleniej Góry, Chłopi nr 39); **M. S.,** Uzdrowisko, które ma serce w herbie (reportaż z Kudowy Zdroju (Ogniwa nr 37); **Stefan Kisielewski,** Dobraczyński oczyszczony (na marginesie „Najeźdźców, Tygodnik Powszechny nr 37); **S. Z. Z.,** Szczecin w blasku chwały (Morze nr 7, 8, 9); **Zbigniew Mitzner,** Na nowej ziemi (O Mazurach, Tydzień nr 37); **Marian Brandys,** Monumentalizm, tandeta i słuszny pomysł (O zamku malborskim, Odrodzenie nr 37); **Praca zbiorowa II,** Ostatnie dni Starówki (Tygodnik Warszawski nr 37); **Irena Sławińska,** Książka o stającym się czasie (O „Bolesławie Chrobrym“ Gołubiewa, Arkona nr 7-8); **Zygmunt Komorowski,** Wędrówki po Pomorzu Mazowieckim (Polska Zachodnia nr 36-37); **Walerian Zachnitt,** Berlinek — miasto deskami zabite (Polska Zach. nr 36-37).

SPRAWY NIEMIEC.

A. Wojna i okupacja:

Paweł Jasienica, Agonia pokoju (Na marginesie wspomnień rumuńskiego min. spraw zagr. Grzegorza Gafencu, Tygodnik Powszechny nr 37); **Mjr. Janusz Dubert,** Wyzwolenie Pragi (Tydzień nr 37).

B. Niemcy współczesne:

Roman Kornecki, Amerykański plan odbudowy Niemiec (Trybuna Wolności nr 31); **Janusz Pajewski,** Republika weimarska ogniwem jednego systemu (Przegląd Zachodni nr 7-8); **Andrzej Józef Kamiński,** Kronika Niemiec współczesnych za okres od 21. 5. do 30. 6. 47 (Przegląd Zachodni 7-8); **Marek Sadzewicz,** Niemcy zwyciężone — Niemcy zwycięskie czyli hitleryzm przed 70 laty (Tydzień nr 37); **Kazimierz Koźniewski,** Pytania (Przekrój nr 127).

SPRAWY SŁOWIAŃSKIE:

Henryk Świątkowski, Ideologia współczesnego ruchu słowiańskiego (Życie Słowiańskie nr 7-8); **Dr. Jiri Neustupny,** J. L. Pić — słowiański historyk i prehistoryk czeski (Z otchłani wieków nr 7-8); **Witold Hensel,** Odkrycia archeologiczne na Hradczynie w Pradze (Przegląd Zachodni nr 7-8); **Jiri Kotalik,** Rozwój malarstwa czeskiego (Przegląd Artystyczny nr 6-7); **Ks. kan. Dr. J. Nowacki,** Z uroczystości św. Wojciecha w Pradze, 22—27 sierpnia 1947 r. (Głos Katolicki nr 38).

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik“. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik“, Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 21406